Nr. 6. Warszawa, dnia 30 Stycznia (11 Lutego) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem).
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA

OBIADY BRANDENBURSKIE.

Wobyczaj monarchii pruskiej za panowania Wilhelma II weszło przemawianie na posiedzeniach sejmu prowincyonalnego Brandenburgii. Sejm ten zbiera się corocznie w lutym lub marcu; corocznie też w lutym lub marcu telegraf roznosi po Europie słowa cesarza, jako króla pruskiego, do wiernych Brandenburczyków. Krasomówstwo królewskie tak już do brandenburskiego sejmikowania przylgnęło, że milczenie wskutek niestawiennictwa byłoby wypadkiem niezwykłym. Po r. 1877, kiedy dzisiejszy cesarz, jeszcze jako następca tronu, z upoważnienia dziada swego po raz pierwszy sejmik obecnością swoją zaszczycił, raz tylko, w pierwszym roku panowania, d. 12 marca 1889 r., zjawił się wśród sejmikujących znienacka; od r. 1890 bytność swoją stale zapowiada, a przybywa już nie na sam sejmik, ale na obiad po sejmiku. Na obiedzie też przemówił i w roku bieżącym, d. 4 lutego.

Cesarz lubi mówić, lubi mówiąc używać słów wielkich, obrazów poetycznych. Za specyalność krasomówstwa, zlewanego na Brandenburczyków, obrał sobie rozwijanie różnych tematów władzy w stosunku do rządzonych, a Hohenzollernów w stosunku do Brandenburczyków i Prusaków. Na brandenburskich obiadach wynurza się ze swemi myślami, wrażeniami i zadaniami, które w danej chwili jako najważniejsze odczuwa, tam snuje wątek pojęć swoich o obowiązkach władcy prusko-niemieckiego; tam z głębi duszy monarchicznej wyjmuje i przed oczyma ciekawych rozkłada klejnoty swej religijności, czci dla Boga, czci dla wielkich przodków, którzy wespół z Bogiem potęgę pruską zbudowali. Dzięki jedynie takiemu krasomówstwu nietylko sam sejmik brandenburski, ale nawet p. Achenbach, prezydent prowincyonalny, toastami swymi naciskający sprężynę wymowy przejdzie do nieprowincyonalnej potomności. Charakterystykę samego mówcy ta w jego obyczaj już wszczepiona wymowa niezwykle wzbogaca. Historyk-psycholog nie miałby o Wilhelmie II wyobrażenia należytego bez tych brandenburskich przemówień.

Czy podobna np. pominąć takie wynurzenia, jakie usłyszano d. 5 marca 1890 r.? Kto chce z nim razem iść, tego całem sercem wita, kto mu drogę zajdzie, tego zmiażdży (*den zerschmettere ich*). Podróżuje, nietylko, ażeby poznawać rzeczy obce, ale żeby lepiej, bez chełpliwości, patrzeć na swoje własne. Dnia 21 lutego 1891 r. woła: Duch nieposłuszeństwa przeciąga po kraju; używa całego oceanu farby drukarskiej i papieru, aby tylko zaciemniać drogi, tak jasne dla każdego, kto zna zasady Wilhelma II, a zasady monarchiczne szczerem sercem wyznaje. Stronnictwa rządzą się jedynie interesem: jedna tylko monarchia ma dobro wszystkich na celu. D. 24 lutego 1892 r. piętnuje Wilhelm II zakorzeniony nałóg krytykowania wszystkiego, co robi rząd. Jeżeli temu toczącemu drzewo robactwu źle, to dlaczego żaden z przyganiaczy nie otrze o próg podeszew swych pantofli i nie wyniesie się z kraju? Czasy, w których żyjemy, są przejściowemi. Trzeba jak Drake wierzyć, aby jak on wzrokiem ocean jasnej przyszłości ogarnąć. Tak wierzy Wilhelm II: wierzy, że ten najwyższy sprzymierzeniec z pod Rossbach i Dennewitz nie opuści go; nie opuści, bo tyle sobie już trudu zadał z Brandenburgią, że niepodobna przypuścić, aby tak wiele zrobił dla niczego. „Przeznaczeni jesteśmy do wielkich rzeczy. Idźcie za mną, a ja wprowadzę was w jasność dni wspaniałych.“ *Nowy kurs* jest dobry i sternik też nadal trzymać się go będzie.

W r. 1893 d. 1 marca powtórzył cesarz słowa Bismarcka: „My, Niemcy, boimy się tylko Boga, a zresztą — nikogo w świecie.“ Jako „ojciec krajowy“ (*Landesvater*) Wilhelm II zadowoli przynajmniej tych, którzy chcą być zadowolonymi. Trzeba tylko uczynić ojczyznę silną wewnątrz, a poważaną na zewnątrz. W r. 1895 dał cesarz napomnienie agraryuszom, aby się nie uwodzili nadzieją, że dla nich inne klasy poświęci. W r. 1896 d. 20 lutego cesarz nazwał dziada swego świętym, a uświęconemi (*geheiligt*) wspomnienia jego czynów. Tych wspomnień bronić potrzeba przeciwko każdemu, ktokolwiekby je szarpnął (tu cesarz w idealnym gniewie uderzył silnie pięścią w stół). W r. 1897, d. 26 lutego, miał mówca wykład o Barbarossie — i Wilhelmie I „Wielkim.“ Pierwszemu udało się jako tako zjednoczyć Niemcy; drugi, gdyby żył w średnich wiekach, zostałby świętym. „Trzeba zmódz, powalić stronnictwo, które podkopuje podwaliny państwa, powstaje na religię i nie zatrzymuje się nawet przed Bogiem.“ „Wszelką dłoń, robotnika czy książęcia, z radością poczuję w swojej — jeśli mi tylko pomocną będzie w tej walce. Musimy naród z tej choroby wyleczyć. Gdy ognie na wzgórzach zapłoną — Brandenburczycy za mną!“

Tak przemawiał Wilhelm II na brandeburskich obiadach. Tegoroczna jego mowa nie przynosi wstydu dawniejszym.

Tydzień polityczny. Tego roku mowę brandenburską cesarz Wilhelm miał 4 b. m. Wspomniawszy o domu Hohenzollernów i stałem poczuciu obowiązków publicznych, domowi temu właściwem, monarcha zawiadomił zgromadzone na obiad stany, że przysięgę dawniejszą na sztandar niemiecki powtórzył na Górze Oliwnej: pracować będzie dla narodu. Moltke po wojnie 1870—1 powiedział: „Drzewo już jest; teraz tylko pilnować jego rozwoju.“ Otóż cesarz pragnie być dobrym ogrodnikiem: odcinać będzie wilki i sęki, tępić stworzenia zagrażające korze-

niom. Drzewo się rozrośnie, wspaniale rozrośnie, a na straży jego stanie *der deutsche Michel*, z ręką na mieczu, ze wzrokiem w przyszłości. Poczciwy ten Michał, z poczciwości swej Michałek, dziś już zabezpiecza pokój. Niemcom wszakże potrzeba coraz większej jedności, aby mogli bronić skutecznie wewnętrznego i zewnętrznego pokoju. Nad pokojem zatrzymał się cesarz niemiecki dłużej. Propozycya Najjaśniejszego Cesarza Wszech Rosyi nie mogła nie wywrzeć wrażenia, na jakie zasłużyła. Zapewnić pokój wszystkim narodom — rzecz piękna; ale niema rachunków bez pomyłek. Póki istnieje grzech pierworodny, póki wojna sieje nieprzyjaźń i nienawiść, dopóty człowiek będzie dążył do utrzymania przewagi swej nad innymi. I dlatego Niemcy powinni być jedną niewzruszoną skałą. Wszelka wojna rozbije się o *rocher de bronze* (wyrażenie Fryd. Wilhelma I, ojca Fryderyka II) narodu niemieckiego.

Komentarze do tej mowy wskazują znowu socyalistów i wolnomyślnych jako owe sęki i wilki na drzewie państwa niemieckiego, a nakaz coraz większej jedności jako zapowiedź urządzenia stosunków w Brunświku i Lippe-Detmold w duchu pruskim.

We Francyi Dreyfusa przyćmił Beaurepaire. Wiadomo, że rząd z powodu oskarżeń na sąd kasacyjny przez niego miotanych wniósł projekt, zmieniający stałą ordynacyę tego sądu. Ale jemu i stronnictwu za nim stojącemu takie niesłychane ustępstwo jeszcze nie wystarczyło; uderzyli w strunę najwdzięczniejszą dziś dla przeciętnego kurs bieżący w kraju mającego patryotyzmu francuskiego: oskarżyli jednego z sędziów o zdradzenie tajemnicy państwowej, w dokumencie sądowym zawartej, jednemu z przedstawicieli trójprzymierza. Komisya Izby projekt rządowy odrzuciła. Rząd stawia kwestyę zaufania. Obwinieni członkowie sądu w memoryałach odsłaniają sieć intryg, którą na nich zarzucono.

W sobotę, d. 4 b. m. Filipińczycy napadli na Manilę. W niedzielę Amerykanie napad odparli. Aguinaldo uznaje już protektorat, poprzestaje nawet na poręczonych tylko swobodach. Stany Zjedn. wysyłają wojsko.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SEKCYA HYGIENY LUDOWEJ.

Nowa instytucya społeczna — Towarzystwo hygieny w Warszawie — jeszcze dopiero pierwsze kroki stawia i temu właśnie poniekąd przypisać należy, że dotychczas nie wyszła ona z granic teoretycznych i nie zetknęła się bliżej z życiem. Nie posiada nawet jeszcze jasno i stanowczo sformułowanych zadań swoich we wszystkich działach, nakreślonych w programie. Te wszakże sprawy, które roztrząsa na swoich posiedzeniach, świadczą, że ma już pewne wytknięte cele, pewien porządek w ich przeprowadzeniu. Szczególnie ten porządek wstępnych działań daje się spostrzegać w sekcyi hygieny ludowej. Obrady swoje ona rozpoczęła w ubiegłym miesiącu, na ostatniem zaś posiedzeniu (4 lutego) poruszyła dość szeroko donioslą sprawę walki z ospą. Ze szczegółów tam podniesionych, dzięki ankiecie dr. Chełchowskiego, widzimy, w jak okropnem zaniedbaniu dotychczas są u nas masy ludowe, jak dalece pozostawione są na pastwę chorób epidemicznych. Według urzędowych danych statystycznych za trzy lata (1892—1894), w sześciu powiatach nieszczepieni stanowili prawie połowę ludności (40—60%): w Maryampolskim, Władysławowskim, Warszawskim, Kutnowskim, Kalwaryjskim i Radzymińskim. Około trzeciej części (25—40%) nieszczepionych w stosunku do ogółu ludności było w 14 powiatach: Biłgorajskim, Chełmskim, Lubelskim, Szczuczyńskim, Pułtuskim, Kozienickim, Radomskim, Sejneńskim, Włocławskim, Słupeckim, Łaskim, Łęczyckim i Sandomierskim.

Jeszcze smutniej stan rzeczy się zarysuje, jeżeli dodamy, że szczegóły statystyczne wykazują za dużo szczepień, nigdy zaś za mało. W ostatnich latach położenie w paru wymienionych powiatach trochę się polepszyło. W Kaliskiem liczba szczepień znacznie wzrasta, dzięki temu, iż robotnicy, udający się po zarobki do Prus, muszą się poddawać szczepieniu na granicy, często zaś na miejscu zarobkowania, za co przymusowo płacą markę, gdy tymczasem w kraju mogą to uskutecznić darmo, albo najwyżej za 5—15 kop.

Czyż można się dziwić, że lud ciemny, wogóle niedbały o swoje zdrowie, a przytem spędzający całe swe życie w takich warunkach bytu i pracy, które muszą gwałcić najelementarniejsze zasady hygieny — że ten lud wcale się nie troszczy o szczepienie ospy, skoro to samo, aczkolwiek w mniejszym stopniu, daje się zauważyć w warstwach oświeconych! W Warszawie śród tak zwanej średniej inteligencyi 25—30% zaniedbuje szczepienia powtórnego (rewakcynacyi), skutkiem czego 10% przebywa ospę.

Wogóle cały nasz kraj, jak stwierdzają dane urzędowe i prywatne, jest w okropnych, nawet haniebnych warunkach. Lekarz powiatowy, zapytany o procent osób umierających na ospę, twierdził, że w jednym powiecie śmiertelność ta jest większa, niż w całem państwie niemieckiem.

Ospa niegdyś była straszniejszą od dżumy. Ludzie na wieść o niej tracili przytomność, z przerażeniem opuszczali domy, porzucali zapadłych na tę chorobę blizkich sobie. Ta okropna klęska z zamierzchłej przeszłości nie pozostała tylko w tradycyi. Przeniesiona żywcem do upośledzonych skrawków świata, zakonserwowała się, jak mięso mamuta w nigdy nietopniejących lodach. Pozostała wraz z resztkami życia pierwotnego. Sieroszewski w swojej pięknej powieści, „Na kresach lasów," rzucił taki wstrząsający obraz klęski śród Jakutów. I pomyślmy sobie, że ta choroba, z którą niepodobna było walczyć, dziś zupełnie może się stać bezsilną, a nawet zniknąć z powierzchni świata; że pomimo takich potężnych środków, na jej zagładę stworzonych przez naukę, istnieje ona w najlepsze, a u nas jeszcze stanowi poważną klęskę i przyczynia się do znacznej śmiertelności! Czyż nie jest to hańbą dla społeczeństwa cywilizowanego, stojącego stosunkowo na wysokim stopniu kultury?!

Otóż zadaniem Towarzystwa hygienicznego powinno być przedewszystkiem — zmazanie tej hańby. Na ostatniem posiedzeniu uchwaliło ono środki następujące: Zorganizować przymusowo, bezpłatno w całym kraju szczepienie ospy pierwsze i powtórne. Oddziaływać na opinię kierowników zakładów różnych, fabryk, przedsiębiorstw prywatnych, właścicieli ziemskich itd., ażeby przyjmując uczniów, służbę, czy robotników, wymagali od nich stanowczo świadectw szczepienia ospy. Na zwierzchników szkół trzeba wpłynąć, ażeby żądali od uczniów szczepienia powtórnego. Wreszcie należy za pomocą słowa żywego, odczytów, broszur zachęcać masy do wykonywania tego niezbędnego środka bezpieczeństwa. Co do tego ostatniego warunku, już istnieje pewien zawiązek czynu. Mianowicie dr. Pałaski na posiedzeniu złożył gotową rozprawkę popularną wraz z rysunkami. Na wydanie jej w jak największej ilości egzemplarzy postanowiono zdobyć fundusze. Prócz tego, w barakach noclegowych mają być zorganizowane odczyty w terminie szczepienia ospy, tj. na wiosnę.

Warto, ażeby sekcya hygieny ludowej pomyślała o złagodzeniu jeszcze jednej strasznej klęski — szkarlatyny, która nie oszczędza żadnej warstwy ludności i szerzy okropne zniszczenie. Od lat wielu epidemia tej zabójczej choroby w całym kraju prawie nie wygasa, napada zaś z największą gwałtownością na ludność ubogą, która w ciasnych, jednoizbowych mieszkaniach nie może myśleć o odosobnianiu dzieci chorych od zdrowych, nie może pielęgnować i dozorować należycie dotkniętych zarazą. Skutkiem tego z piorunującą szybkością ogarnia ona całe dzielnice i pochłania więcej ofiar, niż cholera. Gdy zważymy, że w bardzo wielu wypadkach, a śród ludności ubogiej prawie zawsze choroba ta, jeżeli nie zabija, to pozostawia w organizmie ocalonych zniszczenie, braki, wytwarza na całe życie skłonność do innych ciężkich chorób, że tym sposobem słabnie odporność fizyczna mas całych, zmniejsza się ich zdolność do pracy produkcyjnej, że tą drogą wzrastają rzesze ludzi obarczających społeczeństwo i wytwarzających jego nędzę, a będziemy mieli całkowity obraz jednej z najstraszniejszych klęsk społecznych. Nauka lekarska dotychczas wobec niej stoi zupełnie bezsilna, śledzi tylko naturalny przebieg choroby i stwierdza jej skutki, patrzy na męczarnie dziatwy nieszczęśliwej i rozpacz rodziców. Medycyna poddaje się tym razem z rezygnacyą wyższej druzgocącej sile. Ale przecież ma ona rodzoną siostrą i pomocnicę — Hygienę, która dotychczas nie przedsięwzięła żadnych środków na stłumienie, a przynajmniej złagodzenie opidemii szkarlatyny.

Niechże więc sekcya hygieny ludowej rozwinie działalność w tej mierze; niech powoła do pomocy w zwalczaniu strasznej klęski całe społeczeństwo oświecone. Trzeba przedewszystkiem stworzyć jakąś straż dezinfekcyjną w rodzaju pogotowia ratunkowego, bo ścisła i umiejętna dezinfekcya przekracza środki i siły słabej inteligencyi warstw ubogich, ciemnych. Trzeba zbudować lub urządzić osobne lokale z sumiennym dozorem dla dziatwy zdrowej, odosobnionej od chorych. Choroba dostaje się rozmaitemi drogami, najczęściej niewątpliwie za pomocą produktów spożywczych. Otóż na tę stronę powinna być zwrócona baczna uwaga. Przedewszystkiem z tych domów wiejskich i małomiasteczkowych, w których się rozgościła szkarlatyna, nie można wypuszczać na targi masła, serów, mleka itd. W miastach i miasteczkach wszystkie sklepy, sprzedające pieczywo, powinny je trzymać za siatką

drucianą, ażeby kupujący nie wypróbowywali bułek i chleba rękami. Zresztą dałoby się tu wymienić tysiące innych środków ostrożności, bardzo ważnych i zbawiennych. Niezbędne są także broszury i odczyty, pouczające, jak należy obchodzić się z chorymi na szkarlatynę, jak rekonwalescentów zabezpieczać od innych chorób i jakie zachować środki ostrożności względem zdrowych. Oczywiście niemożna liczyć na szybkie powodzenie tej wieloramiennej propagandy hygienicznej, bo jeżeli dziś w razie choroby inteligencya musi prowadzić nieustanną, uciążliwą walkę z ciemnotą, przesądami i drwiącem niedowierzaniem służby względem środków dezenfekcyjnych, to cóż mówić o masach, gospodarujących we własnych domach?! Niechże sekcya hygieny ludowej rozwinie całą swą energię, powoła do walki z klęską wszystkie stany i warstwy, a położy olbrzymie zasługi dla społeczeństwa i wzmocni podstawy w wątłym gmachu jego szczęścia.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Ks. Jan Badeni. — Prof. Baudouin de Courtenay. — Zjazd delegatów Tow. ubezpieczeń. — Walka o lód. — Wyznanie Przybyszewskiego. — Dirce Siemiradzkiego. — Koncert Michałowskiego. — Do

Źle rozpoczął się rok bieżący dla konserwatywnej partyi krakowskiej. Z szeregów jej ubył jeden z najzdolniejszych i najenergiczniejszych pracowników, ksiądz Jan Badeni, stały współpracownik *Przeglądu Powszechnego* od lat kilkunastu, organizator stowarzyszeń „Przyjaźni,“ w których spodziewał się znaleźć klucz do rozwiązania kwestyi społecznej, autor wielu prac religijno-politycznych. Pozostawił też głęboki żal u swoich przyjaciół politycznych. Był to człowiek bardzo rozległej wiedzy i bystrej inteligencyi, którą szerokie obejmował widnokręgi. Umiał wszechstronnie rozpatrywać położenie, które chciał opanować i najpewniejszemi dążyć do niego drogami.

Nie mogą tego powiedzieć o sobie inni ludzie z tegoż obozu. Ciasnota umysłowa nakłada im na oczy okulary końskie, które nie pozwalają im widzieć szerzej i dalej, jak w kierunku końca nosa, a dodawszy do tego krótkowidztwo fanatyzmu, zrozumiemy, dlaczego nawet „uświęcone celem“ środki prowadzą ich nieraz do porażki tam, gdzie najbardziej szło o ratowanie zagrożonego stanowiska.

Taka właśnie niezdana zasadzka, w którą miał wpaść prof. Baudouin de Courtenay, pogrążyła teraz nieliczne na szczęście kółko jego wrogów politycznych w uniwersytecie krakowskim. Jako obcy poddany, jest on zakontraktowanym na pewną ilość lat profesorem. Umowa kończy się w roku bieżącym i miała być odnowiona.

Prof. B. popełnił jednak w roku zeszłym niezręczność, nazwawszy po imieniu to, co nosiło dotąd delikalną nazwę „fałszywej fasyi“ i dotknął tem srodze wszystkich zacnych panów, hołdujących zasadzie: *cela ce fait, mais on ne parle point de cela.* Aby pozbyć się niedogodnego świadka, użyto zwyklej broni galicyjskiej: „szlachetnej denuncyacyi.“ Ministeryum zawiadomione, jakoby prof. B. był agitatorem panslawistycznym na Węgrzech, zakazało odnowienia kontraktu na dalsze wykłady.

Trzeba oddać sprawiedliwość władzom uniwersyteckim, że z nielicznymi wyjątkami zachowanie się ich w tej sprawie było zupełnie poprawne. Niezależnie od osobistych sympatyj lub niechęci, większość profesorów wystąpiła w obronie kolegi i po wyjaśnieniu ze strony prof. B., że owa podróż agitacyjna była najkłamliwszym wymysłem, postawiono go jako kandydyta na miejsce zmarłego prof. Malinowskiego.

Manifestacya, urządzona przez młodzież akademicką wszystkich wydziałów, oraz przyjęcie tłumnie zgromadzonej publiczności na odczycie prof. B. w Towarzystwie przyrodników im. Kopernika, były wyrazem szacunku i sympatyi, jaką potrafił sobie zjednać prawością swoją i niepospolitą wiedzą.

Jak postąpi ministeryum w tej sprawie — trudno przewidzieć; byłoby jednak zabawnem, gdyby rząd nie zatwierdził nominacyi profesora, który naraził się społeczeństwu, stając w obronie rządu. Broszura bowiem, która tyle narobiła wrzawy, tak właściwie była powszechnie zrozumianą. Mało kto wniknął w głębsze jej etyczne znaczenie.

Przed kilkoma dniami odbyło się tutaj zgromadzenie delegatów Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. Zjechali się panowie magnaci i bracia szlachta w liczbie 58, przybrali kilku przemysłowców, kilku dyrektorów instytucyj finansowych, kilku adwokatów i jednego kupca. Radzili oni nad losami instytucyi, która tak ciężkie w roku zeszłym przebyła przesilenie. Ze sprawozdania wiceprezesa, p. Gniewosza, dowiedzieliśmy się, że sprzeniewierzenie Kieszkowskiego zostało pokryte; wzmocnieniem kontroli zapobieżono podobnym nadużyciom na przyszłość, a protekcye niewłaściwe usunięto w każdej dziedzinie. Józef Męciński, ponownie wybrany prezes, zaręczył, że Towarzystwo wstępuje w nową fazę rozwoju i pożytecznej pracy, poczem przystąpiono do wyboru rady nadzorczej, dla której uchwalono na koszty podróży po 10 złr. dziennie i 10 centów od kilometra. Według tej taksy pierwsze posiedzenie 72 delegatów kosztowało 6.540 złr. Zapytujemy z hr. Andrzejem Potockim: Czy to nie za drogo?

To samo pytanie zadawali sobie przemysłowcy krakowscy, którym nagle Rada miejska z natchnienia fizyka zabroniła sprowadzać lód z zamiejskich stawów, a to w celu podniesienia fabryki lodu sztucznego, którą założył jeden z panów rajców. Ponieważ jednak nasze miasto jest już stanowczo zdemoralizowane przez rozmaitych radykałów, którzy zawsze podnoszą gwałt, kiedy prywata bierze górę nad dobrem publicznem, przeto po zażartej walce pozwolono każdemu kupować lód, gdzie ma ochotę, a nie tam, gdzie urząd miejski każe.

A teraz, na zakończenie — o czem mówi cały Kraków? O Przybyszewskim i jego wyznaniu, wypowiedzianem w *Życiu*. Ogół się gorszy głównie obcęwaniem od „mydlarzy“ wszystkich obywateli kraju, z wyjątkiem tysiąca wybranych, z których podobno dotąd zgłosiło się dopiero paręset. Wybrane dusze, pasowane na arystokracyę, noszą dumnie głowy i patrzą z pogardą na hołotę, która stukając palcem w — czoło, medytuje, jaka jest różnica między „nagą duszą“ a... nagiem ciałem, czyli właściwie, dlaczego moderniści uparli się nazywać ciało duszą.

Tymczasem niepoznacznie, powoli „modernizm“ wnika w nasze mózgi, w krew naszą i coraz mniej zaczynamy rozumieć starą sztukę i artystów dawniejszej szkoły.

Siemiradzki przysłał nam „Dirce“—cudowną, białą Dirce na zabitym bawole, jak na krzyżu rozpiętą. Płótno słoneczne, barwne, postacie silne, subtelnie malowane. Stoimy jednak przed tym obrazem chłodni i pytamy, czego mu brak? Nerwy nasze, wzdrygające się na krzykliwe efekty najmłodszych, przestały jednakże reagować na banalnie romantyczne piękno przedostatniej doby.

Przyjechał Michałowski. Wszyscy podziwiali jego technikę, subtelność w odtwarzaniu dzieł mistrza, ale ani jedno serce nie zabiło głośniej, ani jedna twarz nie pokryła się łuną, jaką zapał i zachwyt falą gorącej krwi do głowy rzuca.

Jaskrawszych barw, silniejszych tonów trzeba duszy naszej, nietylko tej, która myśli, walczy, doskonali się, która jest tęsknotą za nadczłowiekiem, jak powiada Nietsche. Trzeba nam mistrza, coby te zgłodniałe dusze nasze nakarmił, pokrzepił, nową siłę w nie rzucił. Ale wśród nas takiego mistrza niema.

U was był taki podobno. Zagrał — i nie wybrane tylko, nie wyjątkowe dusze, ale wszystkie porwał i uniósł wysoko, ponad wszystkie nędze i małości ziemi. Czy do nas mistrz ten nie zawita?

Cueca.

PROGRAM MODERNISTÓW.

Potrzeba chaosu, by gwiazda porodzić się mogła...

Przed niniejszem nie dawniej, niż trzy miesiące temu wypowiedział przywódzca szkoły, Stanisław Przybyszewski. Dziś mamy już nie chaos, ale wyraźnie określoną i wypowiedzianą bezwzględnie teoryę, od której krakowskie *Życie*, organ Przybyszewskiego i organ „młodych“ rozpoczyna trzeci rok swego zmiennego istnienia.

Czy mamy również gwiazdę, czy Przybyszewski, choć nieskończenie innych z tej szkoły przewyższa talentem, jest gwiazdą stałą, czy tylko kometą, zakreślającą parabolę na widnokręgu literatury — to rzecz krytyka przyszłości *). Dla mnie dosyć, że wywołuje w umysłach ferment, że zwolenniey jego się mnożą, że czekali na objawienie nowej prawdy, a za taką uchodzić może w ich oczach szereg dogmatów, w których skrystalizował swoje poglądy. Jakież tedy?

„Sztuka jest odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian lub przypadkowości, niezawisłem ani od czasu, ani od przestrzeni, a więc: odtworzeniem istności, tj. duszy. I to duszy, czy się we wszechświecie, czy w ludzkości, czy w pojedyneczem indywiduum przejawia.“ Prace Przybyszewskiego zawierają dużo ustępów, z których dowiadujemy się, czem jest dla niego dusza? Nie jest to przedewszystkiem „biedny, biedny mózg.“ I on sam i wszystko, czego dokonał kiedykolwiek „to dzień powszedni.“ Dusza to instynkty odczuwane, a nie uświadomione. „Dla mózgu istnieje przedmiot tylko w czasie i w przestrzeni, dla duszy istnieje bezprzedmiotowa, bezprzestrzenna i bezczasowa istota rzeczy.“

To cała krucyata przeciw uświadomionemu życiu duszy. Mózg i jego wielkie dzieła nie mają stanowić nawet cząstki duszy ludzkiej, nie mają dopomagać w jej bogatem życiu? Nikt nie zaprzeczy, że nieuświadomione pokłady uczuć i przeczuć ludzkich, że siły utajone w instynktach były po wsze czasy żywem źródłem sztuki, że dały wiele natchnień lirycznych, ujawnionych pędzlem, dłutem, czy piórem. Ale ograniczać do nich sztukę, to znaczy godzić jednocześnie w cały skarbiec dóbr nagromadzonych przez stulecia. Dziś posiadamy właściwie dwa światy: jeden rzeczywisty, drugi zaklęty w arcydzieła artystów i poetów. Hołdując teoryi duszy „nagiej,“ bo tak się zowie ów obsolut, o którym ani autor, ani my jasnego pojęcia mieć nie możemy, ubożeje nie rzeczywistość, ale sztuka. Autor w swem programowem *Con-*

*) Zdaje nam się, że i teraźniejszości sił na to starczy. *Red.*

fiteor walczy przeciw stawianiu tej kapłanki ludzkości w usługach etyki, czy społeczeństwa. Zapomina wszakże o innym prądzie potężnym, który, tworząc dlatego, że tworzyć musi, czerpie pobudki i natchnienie ze świata przyrody, z prądów społecznych z badań filozoficznych i wierzeń religijnych. Toż to świat zewnętrzny, stojący po za człowiekiem, stworzony przez ten jego „biedny, biedny mózg.“

Przybyszewski nie uznaje postulatów etycznych, ani społecznych, brzydoty, ani piękna. „Substrat naszej sztuki istnieje dla nas jedynie tylko ze strony swej energii, zupełnie niezależnie od tego, czy jest dobrem, czy złem, pięknem czy brzydotą, czystością, czy harmonią, rozpasaniem, zbrodnią, czy cnotą.“ Zgoda, ale czyż uświadomione popędy i przemyślane czyny tracą energię, czy przeciwnie nie nabierają jej w wielu wypadkach; czy istotnie nie są „potęgą, z jaką dusza na zewnątrz wybucha.“ A ludzkość dążyła i dąży do uświadamiania popędów, chce je poznać i kierować nimi. Biedna ludzkości, gdy staniesz na tem najwyższem stanowisku, które ci modernizm wskazuje, potępić musisz całą twą pracę cywilizacyjną! Ludzkość nie wzdryga się, a raczej na tyle jest świadomą, ile wart cywilizacyjny dorobek, że cząc go i szanując coraz więcej, hołduje sztuce, coraz częściej czyni z niej integralną cząstkę swego umysłowego istnienia. To też moderniści mogą być spokojni, że ludzie współcześni nie pragną poddać sztuki, ani nauki względom ubocznym. Jedna i druga mają przed sobą cel tak wielki, że zapominając o nim, aby zaprządz się do rydwanu zmiennych prądów bieżącej moralności, czy polityki, grzeszyłyby wobec społeczeństwa. Nie wynika stąd przecież, abyśmy korzyć się mieli przed instynktami ze szkodą świadomości, aby człowiek pierwotny, w którym najsilniej przemawia „naga dusza“, stał wyżej od człowieka-produktu wysokiej cywilizacyi. Więc to niższość jego, że instynkty poddał władzy wysubtelnionych przez kulturę zmysłów i sprawnemu w pracy umysłowej rozumowi? A ilekroć mowa o kulturze, zawsze mieć musimy na pamięci pracę świadomej myśli i mózgu. Sztuka dzisiejsza hołduje indywidualizmowi, pragnie dać wyraz subjektywnym stanom duszy, ale dlaczegóż zaprzecza, że stoją one pod działaniem całego zewnętrznego świata, że do tego świata należy tak samo natura, jak cywilizacya? Bo nie sądzimy, aby *Confiteor* było tylko szkicem programowym, który jak każdy program nie dopowiedział całej myśli swojego twórcy. Przeciwnie, twórca ten w swej literackiej działalności był jednolitym i konsekwentnym, istnieje dlań tylko jedna strona duszy—instynkty, a zajmuje się tylko jednym instynktem — erotycznym.

Zresztą i w programie znajduję potwierdzenie wypowiedzianego tu zdania. Przybyszewski, który od chwili, jak stanął na czele *Życia* i pisać zaczął po polsku, niejednokrotnie kładł nacisk na odrębne cechy narodowe polskie, a nie zaznaczył współczucia swego z żadnym objawem narodowego, zbiorowego życia, wypowiada wreszcie, czem jest dla artysty narodowość:

„Naród to cząstka wieczności, i w nim tkwią korzenie artysty, z niego, z ziemi rodzinnej ciągnie artysta najżywotniejszą swą siłę. W narodzie tkwi artysta, ale nie w jego polityce, nie w jego zewnętrznych przemianach, tylko w tem, co jest w narodzie wiecznem: jego odrębności od wszystkich innych, rzeczy niezmiennej i odwiecznej — *rasie*.“ I tu, jak przy wypowiadaniu zasady ogólnej, zapomina nasz modernista, że oprócz właściwości rasowych i życia zewnętrznego, prawdopodobnie zbiorowego, naród żyje swoją cywilizacyą, przyczem tworzy cały szereg przejawów, wynikających przedewszystkiem ze świadomego życia umysłu (mózgu); że stoi pod wpływem swoich dzieł i owej sfery odrębności, jaką dokoła siebie zatoczył. Czem jest rasa wśród narodów cywilizowanego świata, o tem dostatecznie pouczyła nas antropologia, wykazująca, jak różnorodne pierwiastki etnograficzne złożyły się na wytworzenie społeczeństw dzisiejszych. Budowanie odrębności narodowej na cechach rasy, krytyki już dziś nie wytrzymuje i zbytecznem byłoby je zbijać. Ale właśnie owa jednolita cywilizacya narodu, która wchłania rozmaite elementy rasowe i wytwarza z nich wspólny wielki prąd narodowej odrębności, to czynnik, o którym nowy program zupełnie zapomina, a raczej na który nawet w ramach jego niema miejsca.

Wzniosłszy się pozornie po nad działanie owego „biednego mózgu,“ Przybyszewski nie jest przecież tak oryginalnym, jakby się zdawało. Filozofia niemiecka (nie pokrewni mu rasą Słowianie) ma cały zastęp dzieł traktujących o nieuświadomionych popędach duszy. Nietzsche, którego Przybyszewski uważa jako swego antypoda, wielekroć lituje się nad ubóstwem naszego rozumu, a wychwala działalność, siłę i wartość instynktów, zaprzecza cywilizacyę, podnosząc znaczenie rasy. Jeszcze bliżej stoi Przybyszewski filozofii Maxa Stirnera, najkonsekwentniejszego indywidualisty, poprzednika obu. Stirner znał tylko jednostki, a Przybyszewski o jednym z niewielu artystów, których wogóle uznając, o Gustawie Vigelandzie powiada: „A sztuka jego, to... wiecznie stara i wiecznie nowa sztuka Jedynego dla Jedynego.“

Jak każdy reformator, jest Przybyszewski fanatykiem swego poglądu, a fanatym darować mu trzeba, bo utwory jego są istotnie „życiem namiętnością, szałem i głębią, są objawieniem duszy.“ Ale z tego pojęcia sztuki, uczyniwszy z niej nową i najwyższą religię wynika i pojmowanie ofiarników tej religii, artystów: „Artysta nie jest sługą, ani kierownikiem, nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei ani żadnemu społeczeństwu.“ Przybyszewski odrywa go zupełnie od gruntu, na którym wyrósł, porównywa do starożytnego maga, stawia „po nad życiem, po nad światem, jest Panem Panów, nieokiełznany żadnem prawem, nieograniczony żadną siłą ludzką.“ O, iluż artystów i to największych, tych, którzy cierpieli za miliony i zawód swój za służbę bożą uznawali, zaprotestowałoby przeciwko takiemu pojmowaniu! A iluż za to takich, co mają raczej zachcianki, niż siły i uczucie artysty, stanie na tem stanowisku od świata odrębnem, a tak często wygodnem! Ile duchów pysznych, co nie zawsze, a raczej rzadko kiedy znaczy: potężnych, zechce być jak „człowiek nieuznający żadnych praw, stojący po nad tłumem, po nad światem.“

I w tem właśnie leży niebezpieczeństwo zasad, które wielki talent bez szkody dla siebie, tj. dla swej artystycznej indywidualności wyznawać może w głębi ducha. Skoro skrystalizuje je w teoryę, każdy piszący, o ile tematy wybierane przez niego wkraczają w dziedzinę literatury, piękną zwanej, chce być wybrańcem, to tak pochlebne, a często i przyjemne stać po nad światem, nie poczuwać się do obowiązków wobec cierpień i nędz człowieczeństwu, ani do karności wobec praw społecznych!

Na gruncie naszym, a mam tu na myśli przeważnie krakowski ruch literacki, program Przybyszewskiego nie jest niespodzianką. Już przed kilku miesiącami, gdy „mistrz“ nie mieszkał jeszcze w kraju, dało się słyszeć echo jego programu w artykułach „Młoda Polska.“ ogłaszanych również w *Życiu*. Autor, utalentowany publicysta, Artur Górski, wyrażał kierunek modernistycznej literatury, w której dokonało się „nowe odkrycie duszy; spostrzeżono, że po za zewnętrznem jej życiem istnieją całe głębie, nieobjęte światłem dziennem.“ Przyznawał on, że „cechą najmłodszych w literaturze jest indywidualizm i refleksya filozoficzna,“ że oni działać nie chcą, ale „piszą właśnie dlatego, aby nie działać. Literatura, to pani nasza, orędowniczka nasza, pocieszycielka nasza... Rzucamy myśli i formy, tak jak przypływ morza rzuca na brzeg ryby, muszle, meduzy, topielców... — wy zaś róbcie tak, jak robią rybacy: bierzcie z tego dla siebie co jadalne, a co niejadalne poniechajcie.“ W podobnym duchu pisał ówczesny redaktor *Życia*, Ludwik Szczepański, ale były to raczej usprawiedliwienia, w tym programie dźwięczała prośba niesiona do społeczeństwa przez ludzi, którzy w pewnym kierunku wyrabiać się pragnęli, były to próby postawienia etyki piękna tam, gdzie dawniejsi stawiali tak zmienne, a tak nieraz terorystyczne pojęcie dobra.

Przyznaję, że w zakresie teoryi refleksye podobne, natchnione przedewszystkiem przez słuszny sceptycyzm, wobec narzucanej w sztuce celowości, więcej trafić mogły do przekonania od dogmatyzmu Przybyszewskiego. Stoją one w każdym razie na więcej naukowym i filozoficznym gruncie, gdy *Confiteor* jest właściwie *oratio pro domo sua*, teoryą dorobioną do utworów już napisanych. Autor chciał się rozprawić z tymi, którzy sztuce narzucić pragną cele etyczne i społeczne, a nie dostrzegł, że dziś czyni to zaledwie kilku nierozumiejących sztuki mamutów. Po za nimi zaś, zarówno wśród artystów, krytyków, jak i wśród ludzi, których możnaby nazwać artystami bez teki, bo odczuwają i rozumieją, choć nie tworzą, jest nierównie liczniejszy zastęp. Umie on ocenić indywidualizm w sztuce, pragnie nowych dróg dla niej, ale ani na chwilę nie traci z oczu celów społecznych, czy narodowych.

Dlatego też „program“ jest napuszony i zimny, osnuwa teoryę na tle jednostkowego objawu. Gdy powieści Przybyszewskiego czynią niekiedy wrażenie lawy buchającej z wulkanu, gdy przejawy nagiej duszy jego bohaterów przyspieszają tętno pulsu czytelnika, wywołują wypieki na jego twarzy, to teorya nagiej duszy pobudza raczej do krytyki i nie imponuje bynajmniej swoją quasi-naukowością. Czyż nie lepiej było wtedy, gdy mówił z prostotą:

„Programu nie mam żadnego, bo sztuka go niema. Wolno każdemu wtłaczać jakieś programy w artystyczne cele artysty samego, nie można nikomu zakazać, że wyczytuje z dzieł autora rzeczy takie, o których autorowi się nie śniło, ale trudno narzucać sztuce jakiś program. Sztuka granic nie zna, bo życie ich nie zna.“

Dr. Zofia Daszyńska.

Z NIEMIEC.

Berlin, 6 lutego.

[illegible] bursz. — Zawiedzione nadzieje. — Surowy krytyk z gorącego szowinisty. — Delbrück przed sądem. — Tak zwana wolność słowa profesorów. — Ludowa wystawa sztuki.

W 1870 młody student filolog, wlazłszy na [illegible] ratuszową miasta Bonn, wygłosił porywającą mowę, w której nawoływał obywateli do odważnego stawiania czoła Francyi. Chcąc pociągnąć za sobą innych własnym przykładem ów bursz, nazwiskiem Delbrück, sam poszedł na wojnę, aby walczyć jako ochotnik w szeregach armii pruskiej. Powróciwszy do domu, poświęcił się studyom nad historyą strategii i zdobył sobie z czasem sławę pierwszej powagi w tej dziedzinie. Zwłaszcza zbadał on dzieje ojczystej taktyki wojennej i ogłosił najlepszą pracę o wojnie 30-letniej. Nie poprzestając na szperaniu w archiwach, wystąpił wkrótce na arenę polityczną, aby zużytkować wiedzę za-

czerpniętą ze skarbnicy „mistrzyni życia." Przyłączył się on do stronnictwa wolno-konserwatywnego, nad którem unosił się wówczas duch Treitschkego, najzagorzalszego szowinisty na świecie. Delbrück objął nawet redakcyę „Pruskich roczników" dla rozszerzenia w społeczeństwie ziaren mądrości Treitschkowskiej. Nie było ani jednej ustawy wojskowej, którejby nie obronił; gdy mówił o Bismarcku lub Fryderyku Wrzekomo-Wielkim, styl jego nabierał kolorytu i życia. Mąż tego rodzaju powinien był świecić aureolą zaszczytów i uchodzić za wzór podpory tradycyi i porządku. Niestety, wszyscy śmiertelnicy miewają swe słabostki, a każdy uczony posiada jakiegoś konika, na którym harcuje od czasu do czasu, a gdy mu popuści cugle, ten gotów go ponieść po za ustalony świętym zwyczajem kordon. Otóż prof. Delbrück przejął się ideałami Capriviego, gdyż obaj wyznawali społeczne poglądy Wawrzyńca Steina. Atoli zagalopował się i sięgając tradycyi pruskiej, wziął w obronę wszelkie uciskane w Prusiech narodowości, a między innymi Polaków. Treitschke, mentor i protektor Delbrücka, widząc, co się święci, rozdarł szaty. Delbrück pierwszy w Niemczech udowodnił niedorzeczność zadań komisyi kolonizacyjnej. W prasie szowinistycznej powstał wrzask. Rzecz niesłychana, pruski profesor, zamiast dawać przykład młodzieży, demoralizuje ją ssanemi z palca fantazyami o sprawiedliwości państwowej. Delbrück ogłosił między innemi kilka drobnych prac w tej sprawie, kładąc nacisk na to, iż starodawne Prusy przestrzegały względem Polaków skwapliwiej zasad tolerancyi, niż współczesne. Zamieścił on nawet w swem piśmie list Kościelskiego o stosunku Niemców do Polaków. Czego zaś mu nie można było darować — nie podał nazwiska autora i wprowadził tem w błąd swych czytelników, albowiem ci przypuszczali, iż mają do czynienia z rodowitym Niemcem *). Ministrowie już oddawna czatowali na Delbrücka, czekając odpowiedniej sposobności. Były minister Keller wytoczył mu proces. Gdy cesarz dowiedział się o tem, kazał odwołać oskarżenie. Obecnie jednak miara cierpliwości ministrów przepełniła się i Delbrück niebawem będzie odpowiadał przed sądem za to, iż skompromitował stan urzędniczy swem zachowaniem się. Stało się to w sposób następujący. Ów Koller, obecny prezydent Szlezwig-Holsztynu, dojrzał swem Argusowem okiem tlejącą w tej prowincyi iskrę buntu. Aby zapobiedz rozniecenia jej w wielki pożar, wytoczył urzędową sikawkę najcięższego kalibru. Zaczęto gromadami wysyłać ubogich Duńczyków ze Szlezwigu: sklepikarze, służące i robotnicy musieli porzucić „przybraną ojczyznę" dla uratowania jedności rzeszy. Posypały się nadto szykany jak z rogu obfitości. Jakaś np. kobiecina wywiesiła na płocie pierzyny w ten sposób, iż na każdą białą poszewkę przypadała czerwona. Nikt chyba nie zaprzeczy bijącej tu w oczy demonstracyi politycznej, jeśli się dowie, iż kolor czerwony z białym są narodowemi barwami Duńczyków! To też kobieta musiała swą zdradę stanu przepłacić karą pieniężną. Delbrück te barbarzyńskie prześladowania miał odwagę nazwać po imieniu. „Niecne postępki Duńczyków, których dopuszczali się ongi na plemieniu pobratymczem — pisze on — są niewinną zabawką w porównaniu z gwałtem, z jakim rządzimy w Szlezwigu-Holsztynie. A gorszem jeszcze stokroć od tej brutalności, która wystawia nas na pogardę całego świata, jest zaślepienie, iż takimi środkami można osiągnąć długotrwałe skutki w walce narodowej. Poczucie narodowe wywołało w nas fanatyzm, który depcze prawa ludzkości, a zamiast przysłużyć się myśli narodowej, wyrządza jej niepowetowane straty." Ministrowie postanowili nie puścić płazem zuchwalemu bakałarzowi tej szczerości, gdyż jedna „parszywa owca" może zarazić całe stado baranów akademickich. Ten wypadek traktowania profesora jako pachołka, należy, bądź co bądź, do wyjątkowych. Pewien bowiem paragraf konstytucyi niemieckiej opiewa pono, iż nauka i jej mocarze są wolni. Już w początku tego stulecia wszechnice odpierały gorliwie wszelkie zamachy na ich niezależność. Gdy w r. 1832 badeński minister Winter pociągnął do odpowiedzialności słynnego historyka Welckera za to, że ten wydrukował bajkę, w której zima (Winter) odgrywa niepochlebną rolę, wszystkie uniwersytety zaprotestowały jako jeden mąż. Fakultet prawny w Freiburgu został na pewien czas zamknięty, gdyż w swym memoryale nie przebierał w wyrazach. Wprawdzie działo się to przed 66 laty. Dziś w erze rozkwitu karyerowiczostwa i innych pokrewnych cnót zaledwie trzech profesorów kiwnęło zlekka palcem w bucie. Paulsen, autor zaśniedziałej „Etyki" powie dział w tej sprawie „to i owo." Młody utalentowany historyk Breysig wystosował pod adresem ministra tak zwanej oświaty zapytanie, kiedy nareszcie ukaże się okólnik z wykazaniem pism, które mogą czytać świecznicy niezależnej wiedzy. Oprócz tego znakomity historyk Lamprecht w mowie akademickiej westchnął boleśnie z powodu szowinizmu „młodych Niemiec i giętkiego karku obecnego pokolenia." Na tem koniec.

Już dawno szczerzyciele oświaty w Niemczech łamali sobie głowę nad tem, jak urządzić wystawę sztuk pięknych przystępną dla ludu. Sprężysty — że się wyrażę tonem kuryerkowym — Löwenfeld, reformator zabawy ludowej, wpadł na pomysł, który dotychczas wytrzymał świetnie ogniową próbę. W przeciągu miesiąca był wystawiony w sali ratuszowej cykl obrazów, reprezentujących pewien kierunek lub rodzaj malarski. Publiczność ogląda je za biletami, wpuszczana w grupach po 50 osób. Jeden z oprowadzających artystów w kilku słowach informuje gości o zadaniach i technice sztuki, a zarazem ilustruje swe wywody na wystawionych okazach, poczem obecni przyglądają się po kolei wszystkim obrazom. Następnie odpowiada na stawiane mu pytania. „Ludowa wystawa sztuk pięknych" cieszy się takiem powodzeniem, iż wyłonił się projekt zachowania jej jako stałej instytucyi, mającej na celu zaznajamianie ludzi z prądami sztuki.

H. F.

ZIEMIA OBIECANA.

II.

Ciągnęły też najliczniejsze rzesze ludzkie do tej świątyni, różnoplemienne i różnojęzyczne, a wszystkie ożywione jedynem pragnieniem: żądzą bogactw. Szedł Anglik, szedł Francuz, szedł Austryak, szedł Niemiec — szedł najliczniej z nich wszystkich, a z pośród Niemców najgromadniej Sas przemyślny i Prusak butny. Ci ostatni tak tłumnie, że od samego początku stanowili o charakterze narodowościowym tego ruchu dziwnego, tej wędrówki niepospolitej, innych niebawem na plan drugi zepchnęli i sam ruch swoją barwą nacechowali. I z kraju szli ludzie. Szli ze wszystkich jego zakątków: ze wschodu, zachodu, południa i północy, wabieni szeroko rozbrzmiewającą w Łodzi sławą, że w niej dzieją się rzeczy niezwykłe: złoto płynie po ulicach strumieniami. A na czele wszystkich, najliczniej i najspieszniej podążali Żydzi, posiadający największe doświadczenie kupieckie w kraju, jakkolwiek daleko ustępujący Niemcom pod względem uzdolnień przemysłowych, bez różnicy stroju, kroju i stopnia emancypacyi, kapociarze i tużurkowcy, niechlujni i do czystości nawykli, ciemni i tacy, co kultury trochę liznęli, nędzarze i w pierze porośli, a podążali do nowego grodu cudów, aby odegrać w nim rolę kitu handlowego, rychło skupić w swoich rękach prawie wszystkie funkcye bankowo-kredytowe i w przemyśle nawet zająć drugie po Niemcach stanowisko. Szli wszyscy i zewsząd, pędzeni, gnani, popychani, paleni gorącą żądzą złota, pełni otuchy najgłębszej i nadziei najświetniejszych. Szli ludzie najrozmaitszych stanowisk społecznych, najróżnorodniejszych zajęć i zawodów, różnego stopnia zamożności i o różnym poziomie umysłowym i moralnym — płynęła wielobarwna pstrokacizna ludzka. A przywodzili — jak rzekłem — Niemcy. Z Niemiec też przeważnie ciągnęli majstrowie tkaccy, tkacze zwyczajni i prządzarze — *webry* i *szpynery* — i inni rękodzielnicy. Byli tam i kelnerzy, czeladnicy piekarscy i woźnice, awanturnicy podejrzani, nawet oficerowie wysłużeni i zbogaceni chłopi, a nadewszystko szła gromadą całą — wietrząc zdobycz — czereda łyków, tych łyków małomiejskich, jakich tylko wśród drobnomieszczaństwa i chłopstwa widzieć można, którzy później ruchliwą ekonomicznie, chociaż bierną społecznie rolę odegrali w Łodzi. Ciągnęli również i przedstawiciele kapitału. Ale tych w gruncie rzeczy było tak mało, że ginęli oni zupełnie w powodzi przyszłych *self-made-menów*. Jednem słowem, całe fale mas ludzkich zalewały miasto powstające i do życia szerokiego budzące się, „nasz Manchester" przyszły. Istna wyprawa Argonautów współczesnych po złote runo. A byli to, ogólnie biorąc, ludzie o zdrowych i sprężystych mięśniach, potężnych nerwach, mocnych, nietkniętych prawie kulturą zmysłach, brutalnych, a często nawet drapieżnych namiętnościach. Rasa zdrowa, niezużyta, jędrna, sokami żywotnymi tryskająca, zaopatrzona w ostre pazury i w wyjątkową zdolność rozpychania łokciami tłumów ludzkich wyposażona. Pod względem emocyonalnym zupełnie świeża, dziewicza niemal i w krewki, egoistyczno-wojowniczy temperament uzbrojona.

Z takim zasobem sił żywotnych, z takim kapitałem zdrowia niewyczerpanego szły te zastępy pierwszych osadników i krzewicieli kapitalizmu na obcym im gruncie, szli z rozpieranemi gorączką złota piersiami i takie kolosalne majątki zdobywali, że swemi najśmielszemi nawet marzeniami pierwotnemi nie ważyliby się po nie sięgnąć.

Powstało olbrzymie mrowisko ludzkie, osobliwa mieszanina istot pochodzeniem swojem, przeszłością, uzdolnieniem, tradycyami i brakiem ich rozmaita i różnobarwna, a jednak najistotniejszem piętnem swojem — prawie że jednolita. Ta cecha — to żądza milionów, gorąca, wiecznie trawiąca mózg i serce opanowująca, żądza jawnie wyznawana, chociaż czasami ukrywana. Żądza powszechna.

Łódź olbrzymiała, rozrastała się i rozszerzała, aż—za życia jednego pokolenia—wyrosła w kolos, w olbrzyma wytwórczego, wyrzucającego z siebie rocznie za kilkaset milionów rubli towaru. Tak potężniejąc, wchłaniała w siebie, niby kocioł ogromny, te tłumy, które do niej zdążały, przerabiała je, przetapiała, ujednostajniała i wyrzucała, jak towar ponumerowany i ostemplowany, jako — *Lodzermenschów*. Wyodrębniając się, czyniła to kosztem właściwości osobniczych tych rzesz ludzkich, które do niej płynęły i w niej ginęły. Indywidualizując się — produkowała ludzi. Stworzyła typ. W ten sposób wyrosła jako organizm nowy, odrębny, obdarzony własnemi cechami, posiadający własną etykę, własną moralność, własne pojęcia i idee,

*) Charakterystyczne przypuszczenie. *Red.*

co więcej, własny pogląd na świat. Na dnie tego wszystkiego spoczywał kult rubla, który ujął tu w swoje dłonie ster rządów nad mózgami i namiętnościami ludzkiemi. Tu obwieścił swoje wszechwładne, niepodzielne panowanie nad sumieniami ludzkiemi. Tu wyśpiewywano na jego cześć najuroczystsze hymny, które echem dalekiem rozbrzmiewały. Doszedł on tu do takiej potęgi wpływu, że przeniknął wszystkie dziedziny życia, przedarł się do wszystkich sfer działalności ludzkiej i tchnieniem swojem ogarnął i przepoił myśli, uczucia, dążenia, cele i pragnienia ludzkie. Wszedł w organizmy, podciął ich korzenie, zatruł soki, czyniąc je odpornymi na wszystko, co z nim w związku nie stało. Porobił takie spustoszenia moralne, że ich skutki nie dają się przybliżenie obliczyć. Nigdy przedtem kraj nie oglądał takiego rozpasania, takiej pychy, takiego panoszenia się rubla, który święcił tu swoje zwycięztwa największe i tryumfy. Obchodził tu swoje wielkie święto wyłącznego gospodarowania, bo podeptał, wyśmiał i wyszydził wszelkie cele i dążenia, jemu przeciwne, wrogie, z nim niezgodne lub poprostu dlań niezrozumiałe. Stał się niewzruszonym, jedynie prawdziwym i rzeczywistym, powszechnym probierzem wszystkiego. Wszelkie środki, do jego zdobycia prowadzące, uznano za jedynie dobre, jedynie racyonalne i jedynie mądre, wszelkie inne — za niegodne chwilowego zastanowienia się. Tylko czas, jemu poświęcony, uważano za drogi, wszelki inny — za stracony. Tylko chwile życia, jemu w ofierze złożone — za dobrze przeżyte i zużytkowane, wszelkie inne — za chybione, głupio, bezcelowo i bezpożytecznie spędzone. Tą miarą mierzą tu wszystkich i wszystko. Przykładają ją do wszelkich dążeń, ideałów, pragnień, zamiarów, planów, zadań, idej, uczuć, miłości i nienawiści — wszelakich: indywidualnych i ogólnych. Z tego stanowiska sądzą wszystkie sprawy świata i w tem tylko rozum, racyę bytu i prawo do istnienia uznają, na dnie czego ta sprężyna spoczywa. Nie pytają człowieka, kim jest, skąd pochodzi, jaką wartość — moralną, społeczną lub intelektualną — przedstawia, lecz co posiada, co zarabia, a przynajmniej — co wydaje. Tem określają stosunek człowieka do człowieka, do społeczeństwa i świata. Była to swojego rodzaju demokratyzacya pojęć, nowa — *łódzka*. Była to deklamacya praw człowieka, przez *webrów* i *szpynerów*, handlarzów i bankierów świata, ludziom obwieszczona.

(C. d. n.).

Maurycy Badior.

ŻYCIE — SALON.

Tak zwane towarzyskie życie nasze, jego potrzeby moralne i duchowe, wymagania i ideały, gusty i pojęcia wyrosły na szczególnej glebie. Życie to zasnuło się mgłą własnych oparów, odtwarza z nich kształty swojej istoty wewnętrznej, oddycha tą parą, zmieszaną z najbliższą atmosferą. Każdy bohater życia, każda dusza, skupiająca w sobie pewne idee i cele — to postać w kostiumie wytwornym, w świeżych rękawiczkach i lakierkach. Ani w prasie, ani w „towarzystwie,“ tj. salonach, ani nawet w beletrystyce niema już *kobiet* i *mężczyzn*, niema *ludzi*, są tylko *panie* i *panowie*. Otóż dla tych „panów“ i „pań,“ nasi dostarczyciele wrażeń i strawy duchowej dają specyalne strzępki ich własnego lub pokrewnego życia, skrawki widnokręgów idejowych, kwestye ściśle zastosowane do tego świata, w którym się obracają *panowie* i *panie*. Z geometryi życiowej zajmują ich tylko trójkąty małżeńskie, z zagadnień istnienia miłe awanturek miłosnych. Z walk duchowych i moralnych najbardziej interesują tylko te, które się rodzą w buduarach, salonach, gabinetach, a siłą długich, giętkich języków wyrzucone na ulicę, rozpływają się po niej szeroko. Socyologią tego świata jest wir życia towarzyskiego, antropologią — kojarzenie, zrywanie lub różnienie małżeństw; kwestyą społeczną — grzechy konwenansowe bliższych i dalszych znajomych, zwłaszcza wtedy gdy wchodzi „on“ i „ona“; psychologią — miłość lub miłostka zakazana; ekonomią polityczną — stanowisko bliźnich, szczególnie jeżeli chodzi o sprawy matrymonialne; hygieną — krępowanie porywów uczciwych i czystych, w obawie, ażeby opinia nie wzięła ich za złe i nie plunęła błotem; astronomią — spadające lub błądzące gwiazdy firmamentu salonowego i satelity jego planet. Wreszcie filozofią — umiejętność godzenia najsprzeczniejszych przesądów, pojęć i wymagań.

Świat ten lubi często przebywać w pięknie oszklonej cieplarni, zbudowanej na wytwornym tarasie, który zasłania rozległe płaszczyzny i wzgórza gruntu społecznego. Przez wązkie, a długie szyby, zacienione wazonami egzotycznych roślin estetyki i piękna, goście tej cieplarni patrzą na skrawek obszarów, widzą go przez kryształowo zabarwienia lub przez zakurzone tafle szkła. Szyby brudne dają im wrażenie brudu nizin; tęczowe promienie, załamując się w pryzmatach kryształowych, przenoszą przez wzrok do mózgu sielanki z tego świata, w którym się rozgrywają dramaty, wstrząsające do głębi duszy. A jeżeli znajdzie się jakiś śmiałek zapaleniec, po za ścianami cieplarni, który uderzywszy energiczną ręką w szybę, roztrzaska jedną taflę wązką i wskaże ten świat pod stropem nieba bez zabarwień i kurzu, wnet sędziowie owej panoramy zawołają: „To nieprawda! Takiego świata niema. Zresztą co to nas obchodzi!“ Zasłoń pan szybę stłuczoną, bo gwałtowny prąd powietrza poprzewraca nasze cieplarniane pomarańcze, tuje, cyprysy i palmy, pod któremi tak rozkosznie i zajmująco można flirtować.“

Przejdźmy z cieplarni wrażeń estetycznych, wysączonych z literatury i sztuki, do salonu. Niech tam długowłosy poeta z górną wargą przygwożdżoną do zębów, w białej kamizelce i we fraku, skrzywiwszy boleśnie twarz, wypowie swój wiersz: „Płacz duszy“:

„Płakałem dzisiaj w nocy.
Płakałem, wijąc się w niemocy,
Żem cię pożegnał już na wieki,
Że świat mój w tobie tak daleki...“

Deklamacya oddziała na większość słuchaczów, zwłaszcza słuchaczek nerwowych. Obecni zrozumieją i odczują boleść opuszczonego i uznaniem go obdarzą. Niech jakiś samotnik zdaleka napisze list do swego przyjaciela, poety, noszącego w sobie prawdziwą iskrę bożą. „Drogi! Płakałem dzisiaj w nocy... Noc moja była ciemna, długa, ametystowa... Płakałem z głębi duszy. A było tak zimno, tak mroźno, że łzy moje toczące się po twarzy, spadały na śnieg już w postaci kulek lodowych. Gdyby teraz nagle rozwarły się mroki nade mną, gdyby na kopułę nieba wybiegło słońce i falą ciepła zalało przestwory, możeby jego promienie wysączyły te łzy moje i oddały chmurze, która gnana wichrami, z czasem doleciałaby do was, zawisła nad tobą i spuściła ci przez mózg do serca te krople bólu. Poznawszy ich treść i ty byś wtedy zapłakał...“ Niech poeta, otrzymawszy taki list od przyjaciela, pośle tam szybkolotnego orła natchnienia, niech mu każe zebrać te drogocenne perły lodowe i przynieść sobie. Niech następnie roztopi je w swojej duszy gorącej i zamieniwszy na piękny język poezyi, zapłacze duszą przyjaciela — na raucie... — Patrz pan, jak się X-owa wścieka, że pan Y. dzisiaj ją opuścił i asystuje innej... — Czy była pani na balu w Dolinie Szwajcarskiej?... — Ach, jak ta N. po cudacku się ubrała!... Takie szepty zawtórują poecie...

Wejdźmy do teatru. Jakiś pożeracz serc niewieścich przez długi czas wysysał rozkoszny owoc zakazany, a poczawszy już tylko suchą miazgę, obrzydził go i postanowił się wycofać. — „Zbudził się we mnie głos sumienia. Żegnam cię! Bądź dobrą matką, dobrą żoną!...“ — „Już ciebie nie zobaczę nigdy...“ — woła opuszczona i pada nieprzytomna. Rozejrzyjmy się po teatrze, a spostrzeżemy mnóstwo chustek przy oczach. To zrozumiałe. To skrawek życia, do którego nasz ogół „towarzyski“ zaprawili autorowie i krytycy. Niechże na scenie ukaże się sztuka, której bohater w tym samym okrzyku, jaki się wyrwał z piersi kobiety porzuconej, wyrazi cały swój ból, cały dramat swego życia i serca, które cierpi za to, że zanadto kochało innych — a zobaczymy na twarzach widzów wyraz, który nam powie: „My ciebie nie rozumiemy wcale i nie możemy twego bólu odczuć. Nas karmią taką literaturą teatralną i książkową, z którą przeniknęło do naszych serc i skrystalizowało się w nich tylko jedno uczucie: wrażliwość na ból istot odmiennej płci, zbliżonych do siebie. Podobno jakieś tam serca nieraz pękają z innego bólu. Ale to dla nas są sceny odegrywane w obcym, niezrozumiałym języku. Widzimy tylko mimikę aktora, często głęboką boleść na jego twarzy wyrytą zapewne dobrem zrozumieniem rzeczy. Nawet przejmie nas dreszcz czasem, ale do serca nie dojdzie, bo mimika nigdy tam nie sięga.“

Badając przyczyny tego zjawiska, przyjdziemy do przekonania, że w znacznej mierze winni tu są autorowie, schlebiający szeroko rozlanej lecz płytkiej fali gustów, wymagań i pragnień, oraz krytycy, którzy zagarnięci przez tę samą falę, nie mogą się pogrążyć w głębsze nurty życia.

Kiedy przed paru miesiącami nagrodzono na konkursie dramatycznym „Familię“ Andrzeja Niemojewskiego, w prasie naszej i śród pewnego odłamu publiczności powstała wrzawa: zaczęto wołać o zasłonięcie szyby stłuczonej w cieplarni życia salonowego. Jednych raził zbyt silny prąd powietrza ze świata odmiennego, inni upatrywali nieprawdopodobieństwo w głębokiej prawdzie życiowej, inni nie umieli dopatrzyć pierwiastków psychologicznych i socyologicznych, inni wreszcie, nie mając najmniejszego pojęcia o tym świecie, zarysowanym w sztuce, usiłowali scharakteryzować jego istotę wewnętrzną na podstawie znajomości duszy przeciętnego mieszczucha — filistra. Ci, którzy nadali rozmach swoim poglądom i zapuścili się w ogólne zjawiska nieznane sobie, wykazali wielkie pokrewieństwo duchowe i umysłowe z owym ekonomistą salonowym, który ongi, gdy był głód na Szlązku, w taki sposób rozstrzygnął kwestyę: „Narzekają, że im śmierć głodowa grozi. A przecież łatwy jest sposób wyjścia: każdy może wstąpić do restauracyi i zjeść befsztyk.“

Takie sondowanie życia bądź w krytyce, bądź w literaturze jest, niestety, u nas dziś zjawiskiem powszechnem i stałem. Głębie naszego życia dałyby nieprzebrane bogactwa dla literatury pięknej. Tkwi tam uwięziona siła, rozgrywają się ukryte przed oczami naszemi wstrząsające dramaty. Prawdziwy talent, opromieniony światłem umysłu i duszy, potrafiłby z tych głębin wydobyć poezyę porywającą a zarazem wysnuć przepyszne obrazy cierpień i wstrząśnień, z niedoli i bólów ludzkich zbudować na Golgotę „drogę“ wspaniałą, zaczętą nie od terenu fałszywego i skończoną nie pod chmurami płóciennemi, lecz nakreśloną krwią serca. Jednocześnie z promieni, spadających z wysoka do duszy ludzkiej i oświetlających jej wnętrze, taki talent potrafiłby stworzyć sobie pędzel do malowania arcydzieł prawdziwych, które działa-

łyby nie ua smak, wzrok, powonienie lub części zmysłowe zwojów mózgowych, lecz na jego komórki, zamykające w sobie porywy szlachetne i myśli czyste.

Słowem, życie nasze zawiera bogate pierwiastki dramatyczne, psychologiczne i społeczne, z których mogą się zrodzić wybitne płody ducha bez wiązadeł miłosnych, bez przypraw, złożonych ze zdrad i intryg. Tymczasem te rozległe dziedziny, olbrzymie kopalnie dla umysłów twórczych leżą odłogiem, a na ich powierzchni uprawiane są płytkie grządki, na których trochę kwiatów o mdłej woni, trochę roślin, pnących się na wysokość tyk lub płotów, trochę pieprzu obcego inspektowej hodowli — przypada do smaku publiczności. W teatrze sztuka, byleby była „sceniczną," byleby posiadała tło miłostkowo-salonowe, może już liczyć na uznanie. W literaturze książkowej wszelkiego rodzaju dekadentyzm i „modernizm" swojski lub obcy, wszelkie dziwactwo — ma powodzenie. Jakiś zgniłek przesycony, przeżyty, jakiś umysł chorobliwy, sączący ze swej duszy zwyrodniałej, zmęczonej, wyschłej resztki kropel fantazyi, z której powstają opary niezdrowe, fosforyczne w kształcie widm i szkieletów — cieszy się poczytnością szeroką, jest dostarczycielem literatury poduszkowej zarówno dla panien młodych, jak i ludzi dojrzałych płci obojej, którzy usiłują wszelkimi sposobami podniecić wrażliwość spopieloną.

Czy tak długo będzie? Zdaje się, że w chwili obecnej mamy nowy przedświt naszego życia duchowego i społecznego. Z mokradeł literatury wyszły mgły i spadły się grubą warstwą u góry, zasnuły widnokrąg, unieruchomiły powietrze duszne, przesycone malaryczną zgnilizną z bagnisk i kotlin. A gdzieś nad tą warstwą szarobiałą szczyty gór i wyniosłych drzew naszego życia lekko zaróżowiły się zorzą zdrowych i silnych talentów. Z czasem wzejdzie ich słońce, przebije i rozproszy mgły, oczyści widnokrąg literatury książkowej i scenicznej, poruszy i odświeży jej powietrze sparte, usunie z niej woń salonów i buduarów. W gęstwinach natchnień umilkną zgrzyty reumatyków i artretyków, skrzypienia wyschłych dusz, a zapanuje chór czysty i piękny ptactwa twórczego. Sowy i puszczyki pochowają się w dziuplach, koty, skończywszy sceny miłosne na dachach, przeniosą się na drzemkę do dymników. Jednocześnie fala społeczna potoczy się głębiej, zagarnie po drodze wszelki muł i żwir małostkowości, wypędzi życie z salonu na szerokie, otwarte przestrzenie.

Zenon Piętkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dowcip Warszawy.

Ile razy zdarzy się w Warszawie jakiś wypadek szerszego lub nawet bardzo ograniczonego znaczenia, ale zwracający uwagę, natychmiast rodzi się przy nim jak rydz przy drzewie odpowiedni dowcip. Powstaje on tak szybko, że często stanowi pierwszą formę, w której dochodzi do nas sama wiadomość. Jeszcze nie znamy dokładnie faktu, a już podają nam wyciśnięty z niego ostry sok. Trzeba przyznać, że te wytryski miejscowego humoru są prawie zawsze świeże i mocne. Pod tym względem „Paryż północny" zbliża się istotnie do swego zachodniego pierwowzoru. Jak tam, tak i tu wesołość nie pozwala się zasmucić najboleśniejszemu tragizmowi, obrzuca swem figlarnem światłem zarówno jasne i ciemne widoki życia, zapala swemi iskrami łzy radości i bólu, czepia się blasków i mroków, nie truchleje przed żadną grozą, nie korzy się przed żadną siłą. Niezmordowanie uwija się pomiędzy nami szydzący lub rozbawiony żartowniś, który potrząsając dzwoniącym kapturkiem, rozsypuje koncepty na wszystkie strony, pobudzając do śmiechu nawet tych, którzy, czują potrzebę płaczu. Skąd on rodem? Nasz swojski, czy przyniesiony? Co on wyraża? Pogodny nastrój, czy obojętną filozofię życia? Jestże to wystudzony Cynik, zrównoważony Epikurejczyk, Figaro, Falstaf lub Stańczyk?

Niewątpliwie jego nasienie spoczywa w rasie. Szwed, Niemiec lub Anglik nie okazuje nigdy tej skłonności i zdolności do przerabiania życia na fraszki, co Francuz lub Włoch. Humor pierwszych jest ciężki, niezgrabny, rodzaj słonia, który czasem nawet skacze, ale nigdy nie dorównywa zwinnej małpie. Natomiast humor drugich jest niezmiernie wyćwiczonym akrobatą, który śród najpoważniejszej rozmowy wywraca kozła lub zawiesza się nogami na trapezie. Francuzi dowcipkowali idąc na gilotynę, Niemcy filozofują w pochodzie karnawałowym. Tamtych życie ciągle łechce, układa im swe wypadki w zabawne zestawienia lub odwraca śmiesznemi stronami; ci nie czują jego łaskotliwych dotknięć, nie widzą w nim karykatur. Nie jest bynajmniej przesadą twierdzenie, że we Francyi dowcip tworzył sławy i niesławy, dawał władzę i odbierał ją, otwierał wyjście z najcięższych położeń i rozwiązywał najtrudniejsze kwestye. W Niemczech lub Anglii bywał on osą, żmiją, cyrkowym clownem lub plotkarzem, na bieg zaś życia publicznego mocno nie oddziaływał. Tam jest naturalną potrzebą, tu nadużyciem. Gdy minister francuski zobaczy siebie skarykaturowanego i wydrwionego w piśmie humorystycznem, śmieje się i cieszy z popularności; niemiecki — pozywa redaktora do sądu.

Czy Słowianie są dowcipni? W niewielkiej mierze. Mają oni kilku bardzo utalentowanych satyryków w stylu Marka Twaina, to jest ludzi umiejących humorystycznie *opisywać*, ale zdolności do krótkich, świetnych i ostrych aforyzmów nie posiadają. Nie narodził się między nimi ani La Rochefoucauld, ani Voltaire, ani nawet Dumas syn. Ale śród Słowian żyją gęsto Żydzi, którzy rzeczywiście są dowcipni. Heine krąży pomiędzy nimi rozmieniony na drobną monetę i gdyby z nich wytopić ten kruszec, otrzymalibyśmy go w ilości przewyższającej geniusz autora *Obrazów podróży*. O ile tylko możemy wyśledzić źródło dowcipów obiegających Warszawę, zwykle pochodzą one od Żydów i to często niewykształconych. Pośród adwokatów, lekarzy, kupców, rzemieślników tego rodowodu znaleźć można mnóstwo ludzi bardzo dowcipnych, a niektórzy z nich uprawiają tę sztukę jak gdyby zawodowo i zyskali w niej szeroką sławę. Znalazłszy się w ich towarzystwie, odrazu spostrzegamy, że ich rozmowa jest ciągłem „robieniem dowcipów" — jak się wyraża gwara warszawska. Ten właśnie żywioł społeczny, stanowiący znaczną część składową naszego ogółu, wytwarza pozór zdolności pierwiastku słowiańskiego, której on nie posiada.

Jednakże nie „robiąc dowcipów," wszyscy chętnie je powtarzamy i puszczamy w obieg jako ostateczne rozwiązanie wszelkich zagadnień życiowych, nawet takich, które się do podobnego traktowania nie nadają. Czemu? Czy jesteśmy z natury tak dalece weseli, że nam najbardziej dogadza ten sposób wyrażania swych myśli i uczuć? Istotnie, byliśmy zawsze narodem bardzo wesołym. Świadczy o tem niezbicie nasza historya. Umieliśmy szalenie hulać, tańczyć i cieszyć się nawet wtedy, kiedy powinniśmy byli okryć się żałobą, wdziać pokutne włosiennice, posypać głowy popiołem i wyć z bólu, albo skruchą i żalem za grzechy błagać potomków o przebaczenie. Tak było przez połowę wieku XVII i cały XVIII. Byliśmy podobni do papierowych pajaców, które fikają nogami po najmniejszem pociągnięciu sznurka. Byliśmy podobni do rozsypanych kulek merkuryuszu, które ciągle zlewały się w jedną masę, ale znowu rozlatywały się niespokojne, drżące, pod najsłabszem chuchnięciem nabrzmiewać gotowe. Ten — jak dawniej nazywano — animusz pozostał nam dotąd. Czasem rzeczywiście bywamy smutni, pognębieni, trwa to wszakże bardzo krótko i byle podnieta wyprowadza nas z tego stanu i wprawia w wesoły. Takie charaktery wolą zawsze podobać się, niż zasłużyć na szacunek lub zyskać chwałę. Chęć podobania się była też w nas jedną z najgłówniejszych pobudek działalności. Dla dogodzenia jej my nietylko stroiliśmy się, poświęcali, rujnowali, ale nawet przedsiębraliśmy (jak Sobieski) wielkie wyprawy wojenne, zawierali traktaty i odstępowali ziemie. Gdziekolwiek naród objawił takie usposobienie, tam zawsze w jego życiu pierwszorzędną rolę grały kobiety — nie matrony, bohaterki, stróżki cnót lub wyznawczynie idei, ale zalotnice, artystki grające na silnej strunie męzkiej próżności i pożądania. Tak było i dotąd jest u nas. Potężne prądy nowszych czasów przeniknęły również i nasz świat niewieści, unioslszy z niego wiele umysłów w dziedzinie poważnych dążeń i celów. Ale ogół żeński jak tuman kurzu leci bezmyślnie z wichrem pustyni życia lub tworzy grządki mniej lub więcej wabnych, mniej lub więcej wonnych kwiatów, które dają przyjemność oczom ludzkim, a słodycz owadom. Jest to — kulturalnie biorąc — nasze nieszczęście. Matki przekazują córkom katechizm życia w zabawie, próżniactwie, pasorzytnictwie, wyzyskiwaniu sił pracujących dla ich wygody i zbytku. Według tego katechizmu żona, córka, siostra powinny się bawić, a mąż, ojciec i brat— dostarczać im środków do zabawy. Są to ich dobra, kasy, parobcy i niewolnicy. I rzecz szczególna, sami mężczyźni chętnie nakładają sobie na karki to jarzmo i dopomagają do tego uczuciowego i umysłowego wyjałowienia.

— „Gdyby mężczyźni — powiedziała do mnie jedna z najrozumniejszych kobiet — pojęli, jaką szkodę wyrządza im niemowlęctwo i kalectwo duchowe niewiast, wytężyliby wszystkie siły, ażeby je moralnie podnieść i ukształcić."

Niestety. na światło tej prawdy pozostaniemy jeszcze długo ślepi.

Mężczyźni, którzy przedewszystkiem dbają o to, ażeby się podobać i to podobać kobietom, niezdolnym myśleć i mówić poważnie, muszą uważać dowcip za najbardziej pożądane „rozstrzygnięcie wszelkich spraw życia. I dlatego my tak skwapliwie robimy dowcipy lub przynajmniej skwapliwie je roznosimy.

Gdybym poprzestał na tem wyjaśnieniu, popełniłbym niesprawiedliwość. Dowcip bowiem służy u nas nieraz do przecięcia węzłów ludziom, którzy nie są lekkoduchami. Ma to swoją przyczynę i uzasadnienie w psychologii tak zwanego przez Niemców „szubienicznego humoru." Gdy człowiek stanie wobec zagadnienia, którego rozwiązać nie umie, które go pokonywa swoją trudnością lub przejmuje wstrętem — wtedy często śmieje się, pokrywa smutek udaną wesołością i sprawia sobie ulgę żartem. Tu dowcip nie jest nożem chirurgicznym, ale narkotykiem znieczulającym. Polityk, który przegrał wszystkie stawki, daremnie usiłując zwyciężyć niełaskę losu; badacz, który rozbił swój mózg o mur tajemnicy; marzyciel, który kolejno pogrzebał wszystkie ideały; chory, który stracił ostatnią nadzieję, działacz społeczny, który padł zaplątany w

swych najszlachetniejszych dążnościach — wszyscy ci ludzie osładzają nieraz gorycz swych dusz sceptycznym dowcipem. „Robienie dobrej miny na złą grę“—jest środkiem leczniczym znanym i zrozumiałym. Ale czy u nas wielu ma do niego prawo? Nie sądzę. Większość chwyta lub wypuszcza koncept z pustoty i niechęci do głębszego myślenia, przywiązuje go sobie jako łyżwę do ślizgania się po powierzchni życia. I to właśnie jest objawem, charakteryzującym nas ujemnie.

Warszawa ciągle dowcipkuje ze wszystkiego — z dramatu, z niedoli, z ciężkiej walki, z bohaterstwa. Do najpoważniejszych spraw przypina jakiś *bon-mot* i puszcza je po za siebie, wmawiając w siebie, że je załatwiła, że one z dnia dzisiejszego nie przeniosą się na jutro i nie zepsują jej dobrego humoru. Wymagać od wielomilionowego społeczeństwa, ażeby ono było akademią, sądem przysięgłych, chórem tragedyi lub orszakiem żałobnym — byłoby niedorzecznością. Ono musi mieć swoje chwile wesela i żartu. Ale jeżeli te chwile tak się rozszerzają, że wypełniają prawie cały czas życia? Jeżeli jego szata jest prawie cała upięta szpilkami dowcipów? Co o tym kunszcie powiedzieć?

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

LECHICI.

Krak-Małecki wybrał się *), aby raz na zawsze uwolnić naród od smoka-lechityzmu. Uzbrojony był znakomicie i bronią robić umie, jak mało kto. Stoczył walkę walecznie na 264 stronicach. Jego książka czyta się jak powieść, choć w niej spoczywa głęboka erudycya. Bo nietylko oparta na literaturze, nietylko na „źródłach,“ ale nawet na *literach* starych pergaminów, zalegających gdzieś tam w pruskich bibliotekach. I wyobrażam sobie, że szanowny autor spoczywa z zadowoleniem po walce na świeżych laurach, bo pewny jest, że go zabił — tego przebrzydłego potwora. Ale czy go rzeczywiście zabił? Na zawsze? To jeszcze kwestya. Ja przynajmniej pozwalam sobie o tem wątpić, a niektóre powody powątpiewania mojego pozwolę sobie najobjektywniej tutaj przedstawić.

Małecki oburza się na „lechityzm,“ na teoryę „dualizmu“ narodowego, tj. na ową tezę historyczną, jakoby szlachta polska pochodziła od obco-plemiennej rzeszy zdobywców, która podbiła tubylczą ludność między Bałtykiem a Karpatami.

I jakże on zwalcza tę teoryę? Czy argumentami dowodzi jednoplemienności tych dwóch składników narodu? Nie, w to się wcale nie wdaje. Sądzi on bowiem, że „pasmo pomysłów lechistycznych wyprzędło się aż do ostatniej nitki (str. 2), tak że nareszcie historyografia nasza najświeższej doby „porzuciła te niepłodne zacieki, bądź to milczeniem je pomijając, bądź też czasem i wręcz wypowiadając, że były to urojenia“ (s. 3).

A zatem właściwie nie było potrzeby podjęcia walki. Ale „ponieważ zasadniczej odprawy lechistycznych wyobrażeń dotąd nie było, a niejasnymi powodami uskuteczniony koniec, w owych medytacyach i konstrukcyach dualistycznego wykładu naszej przeszłości; więc sprawa zostaje do dziśdnia w zawieszeniu“ i „wiara w ten dualizm żyje sobie po dawnemu w przeciętnych umysłach dotąd“ (s. 5).

Otóż z tych powodów prof. Małecki jednak zdecydował się do podjęcia walki.

Plan jej tak sobie z góry ułożył, że „z tą całą doktryną w ogólności, z jej zasadniczą ideą“ rozprawi się „nie w sposób polemiczny, lecz poprostu i jedynie dociekając najspokojniej, co też mogło dać do niej powód?“ (s. 4). W tym celu wykazuje on, że podstawy niby to naukowe, na których (według jego zdania) dotąd teorya ta się opierała, są fałszywe. Ten dowód, według jego rozumienia rzeczy, udał mu się zupełnie. Wykazał on cały szereg dziwacznych tłomaczeń pochodzenia „Lechitów,“ które nie wytrzymują krytyki naukowej i jak widmo nocne pierzchają przed pierwszym promykiem analizy krytycznej. Przechodzi on wszystkich naszych historyków i innych pisarzy znakomitych i mniej znakomitych, wykazując, co zresztą tajemnicą nie było, że i najgenialniejsi, jak np. Lelewel i Maciejowski, i najzasłużeńsi pracownicy na polu historyczno - krytycznem, jak Bielowski, wpadali często w dziwne przesady, popełniali śmieszne błędy, dali się uwodzić obcym teoryom, jakby ognikom błędnym, na trzęsawiska i manowce, wpadali w nastawione przez filutów-fałszerzy łapki, jak np. ten „Sąd Libuszyn,“ nie poznawszy się na fałszerstwie. To wszystko prawda.

Ale jeżeli te błędy i słabostki naszych pierwszorzędnych historyków i pisarzy nie zmniejszają w szanownym autorze, jak to sam tylokrotnie powtarza, szacunku i uznania dla ich zasług naukowych, to chyba nie weźmie mi za złe i nie będzie uważał za ubliżenie znanym jego zasługom, jeżeli i w jego dziele pozwolę sobie wykazać zasadniczy błąd *logiczny*, który zdaniem mojem sprawia, że zamach na Smoka chybił celu i że po stoczonej walce Smok żyje i żyć będzie, że zatem walka była — *pro nihilo.*

Za pierwszego winowajcę, który tę nieszczęsną *progenies Lechitarum* do nas wprowadził, trzeba było dotąd uważać kronikarza Godysława Baszka: bo Gallus (sądzę, że go można dzisiaj nazwać biskupem Baldwinem Gallusem?) nic o Lechitach nie wspomina, a choć Kadłubek na kilku stronicach dużo o nich prawi, jednak Małecki tego „gadułę nad gadułami“ nie pociąga do odpowiedzialności za sprowadzenie tego smoka do naszej literatury, bo Kadłubek nie przywodzi tych Lechitów jako osobną „progenies.“ Tę zbrodnię popełnił dopiero *ktoś* w kronice Godysława Baszka. Małecki wyśledził tego zbrodniarza: oczywiście szwab jakiś, Marcin Hanke. Bo podczas kiedy poczciwy Godysław Baszko napisał, że po zgładzie Popiela zebrani w Kruszwicy „panowie“ wybrali ubogiego Piasta „quem ingenuum tamen et *ex progenie Lechitarum nossent,*“ a zatem, że wybrali ubogiego, ale prawdziwego „Lechitę“: ten zbrodniarz Niemiec, nie wiadomo, czy z głupoty, czy ze złości, przekręcił to zdanie i napisał: „*quamvis* ingenuum tamen *non* ex Lechitarum gente,“ tj. że wybrali jakiegoś kapcana nie-Lechitę!

I otóż zbrodnia i fałsz wykryte, z których od wieków fałszywe teorye o „obcoplemiennych Lechitach“ wypłynęły!

Z wykryciem tego fałszu Małecki sądzi, że teoryi lechistycznej, że „dualizmowi“ narodowemu zadał cios śmiertelny. Ale zastanówmy się, czy mniemanie takie autora nie polega na błędzie logicznym. Wszak on tylko dowodzi, że Piast według Baszka był Lechitą, a Hanke z niego zrobił nie-Lechitę. Alež tutaj wcale nie chodzi o to, czy Piast był „Lechitą,“ czy nie-Lechitą; tylko czy naród się składał z dwu warstw społecznych: z ludu i z Lechitów? Czy był „dualizm,“ czy nie? Otoż jakkolwiek się czytać będzie ową zapiskę Baszka, czy *quem*, czy *quamvis*, czy że Piast był z ludu, czy z Lechitów: jedna rzecz jest pewna, że za czasów Baszka mówiono i wiedziano o „progenies Lechitarum“ i o ludzie, który nie był z tej „progenies Lechitarum.“ Zamach więc Małeckiego chybia celu, bo ratuje tylko lechickość Piasta, ale nie zabija smoka-lechityzmu! Niechaj sobie nawet ta Baszkowa nomenklatura pochodzi ze złowrogiego „posiewu gaduły“ Kadłubka, który gdzieś tam z fałszywych listów Arystotelesowych (jak twierdzi *bez dowodu* Małecki) tych „Lechitów“ wyciąga, o których Baldwin Gallus jeszcze nic nie wiedział: alež przecież i Baldwin Gallus choć o Lechitach nie wspomina, pisze o *panach* i o chłopach (domini i rustici) jako o dwóch warstwach społecznych, między któremi istnieje taki przedział wielki, taka przepaść nieprzebyta, jak wszędzie indziej w krajach, o których wiemy dokładnie, że przedział taki powstał wskutek najazdu obcych, którzy zostali „panami,“ a podbitych zepchnęli na stanowisko niewolnych „chłopów.“

A zatem, czy nazwa Lechitów jest nowa czy stara, słuszna czy niesłuszna, czy pochodzi ze szwedzkiego czy z niemieckiego, czy z sanskrytu czy z Kaukazu, czy z tureckiego, to wszystko jedno: rzecz, którą tą nazwą oznaczono, choćby nawet tylko od czasów tego „gaduły nad gadułami“ Kadłubka, rzecz ta istniała dawno przed nim, istniała od samych początków zawiązku państwa, a ponieważ fakt „złotej wolności“ z jednej a niewoli z drugiej strony, stosunek „panów“ do „poddanych,“ szlachty do chłopów — ponieważ *rzecz* ta w całym świecie *bez wyjątku* powstała przez podbój i najazd, to chyba Polska nie stanowi *jedynego* w świecie wyjątku.

Podobnymi, jak wyżej przedstawione, argumentami przeciw „lechityzmowi,“ które jednak wszystkie chybiają zamierzonego celu, napełnione jest dzieło Małeckiego. Weźmy np. cały szereg wykazów, że dziejopisowie nasi, jak Lelewel, Maciejowski, Schmitt i inni powoływali się w przedstawieniach pierwotnego społeczeństwa polskiego na słynny rękopis królodworski i zawarty w nim „Sąd Libuszyn.“

Znaną jest dzisiaj historya tego falsyfikatu, którego w źle zrozumianym patryotyzmie dopuścił się uczony czeski Hanka. Pragnąc, aby i Czesi mogli się pochlubić jakimś starym utworem poetyckim, napisał on w stylu archaistycznym poemat, który staroświeckiem pismem nakreślony na posmolonym pargaminie podsunął uczonym czeskim, a ci w uniesieniu patryotycznem chętnie w starożytność tej ramoty uwierzyli. Znalazła ona wiarę i u nas między pierwszorzędnymi naszymi historykami. Oczywiście Hanka, chcąc jak najbardziej uprawdopodobnić swój utwór, jako niby pochodzący z pierwotnych wieków, malował społeczeństwo tamtoczesne *tak*, jak ono się z podań dziejowych i utrzymanych świadectw światu uczonemu przedstawiało. A zatem wyobraził to społeczeństwo jako składające się z trzech stanów, które idąc za świadectwami historycznemi i za teoryami uczonych swego czasu nazwał: kmety, lechy i vladyki. Ale czy wykrycie tego fałszerstwa zmienia w czemkolwiek odwieczny fakt historyczny, nazwany przez Małeckiego „dualizmem“ narodowym, a poświadczony przez niezliczone świadectwa, że od samego początku *państwa* polskiego istniała szlachta jako klasa panujących i chłopi jako klasa mniej lub więcej w niewoli zostająca? Naturalnie powołanie się historyków naszych na falsyfikat Hanki jest śmiesznem: ale ta pocieszna komedyjka nie jest niczem więcej, niż wesołem intermezzem z dzieciństwa naszego dziejopisarstwa, kiedy ono nie znało jeszcze krytyki. Ale czy komiczny ten epizod zmienia fakt odwieczny „dualizmu“ narodowego, który zresztą przez nowszych, bardziej krytycznych badaczów, jak np. przez Piekosińskiego, udowodnionym jest na podstawie wcale innych świa-

*) Antoni Małecki: „Lechici w świetle krytyki historycznej.“ Lwów. 1897.

dectw, mianowicie na zasadzie heraldycznej i dyplomatycznej? Małeckiemu się zdaje, że przez odkrycie fałszerstwa Hanki „lechityzm" poniósł śmiertelną porażkę. Grubo się myli; fałszerstwo to przekonywa, że za jego czasów uczeni wyznawali teoryę nie bardzo może od prawdy oddaloną, iż społeczeństwo w pierwszej dobie historycznej składało się: z kmieci, lechów i włodyków. Czego innego rękopis królodworski mi dowodzi. Ale też wykrycie, że jest podrobiony, niczego więcej nie obala, jak *tylko* mylne mniemanie, że *ten poemat* jest utworem odległych wieków i niczego więcej nie dowodzi, jak że odwoływanie się naszych historyków do tego falsyfikatu nie ma żadnej wagi. Ależ krytyczni historycy nowocześni: Wojciechowski, Balzer, Piekosiński nie powołują się na rękopis królodworski, lecz popierają ten sam fakt „dualizmu" licznemi mocniejszemi świadectwami. Tryumf więc Małeckiego nad Lelewelem, Maciejowskim i innymi jest bardzo łatwy: zresztą wiadomo, że wielcy nasi historycy nie byli krytyczni, aby tylko wzrost dzisiejszy do krytycyzmu był trwały i nie napotykał trudności!

Ta cała komedya Hankowa przypomina podobną historyjkę, która się zdarzyła w Niemczech. Pewien profesor paleontologii zwykł był w okolicznych jaskiniach szukać skamieniałości. Psotnicy studenci splatali mu takiego figla, że na podobieństwo znanych zabytków wyciosali z kamieni najrozmaitsze okazy, jakieś jaszczurki, ślimaki, ryby itp. i pokryjomu porozrzucali w jaskiniach, w których profesor zwykł był robić badania. Udało im się. Za każdym razem wracał on szczęśliwy i zawsze jakąś skamieniałość przyniósł do domu, a w dziele paleontologicznem wszystkie te fałszywe okazy ogłosił. Ale cóż z tego wynika? Czy że nie było podobnych zwierząt w dawniejszych okresach geologicznych? Bynajmniej; wynika tylko, że te egzemplarze są fałszywe, a powołanie się na nie — niewłaściwe. Nie więcej. Psota studencka nie obala paleontologii, zbudowanej na niezliczonych prawdziwych świadectwach!

(D. n.)

Ludwik Gumplowicz.

RODOWÓD ŚWIĄT.

IV.

Istnieje jeszcze jedna kategorya świąt, o której nie zrobiliśmy dotychczas najmniejszej wzmianki, mianowicie święta peryodyczne, powtarzające się co dni parę, jak nasza niedziela.

Widzieliśmy, jak wielkie doroczne uroczystości, związane z dojrzewaniem plonów, oraz inne, towarzyszące zmianom w biegu słońca, rozwijają się równolegle z rolnictwem, posiadają jednak odleglejszą przeszłość, bo zarodki ich spotykamy już na szczeblu wyższej dzikości. Są one naówczas obchodami natury emocyonalnej i wyrazem radosnego usposobienia, idącego w parze z nadmiarem jadła i z ocknięciem się w przyrodzie (i w człowieku) instynktów i sił rozpłodczych. Ten zarodek epoki wcześniejszej przekształca się z rozwojem warunków bytu społecznego, ale przeszłość zawsze wywiera wpływ swój i pęta działanie nowych potęg wytwórczych, które zjawiły się i wzrastają w plemieniu. Człowiek w tym razie, jak w wielu innych, użytkuje z dawnych form, wlewając jakby nowe wino do starych worków. Z biegiem czasu, i wypadki historyczne, co do istoty swojej zupełnie obce czynnikom dotychczas rozważanym, zaczynają również oddziaływać i działaniem swojem przyczyniają się do dalszego urozmaicenia kalendarza wielkich świąt plemiennych. Ukazują się uroczystości, święcące przejścia dziejowe, powstają rocznice urodzin i skonu założycieli nowych religij, oraz rocznice innych dat ich żywota. Niekiedy splatają się one z uroczystościami pokładu zasadniczego, nad którym zastanawialiśmy się; to znowu oddzielają się od nich i tworzą warstwę późniejszą, odrębną i niezlewającą się z poprzednią, zawdzięczającą swój początek wyłącznie pierwiastkowi historycznemu. Wreszcie na pewnym szczeblu rozwoju, kiedy tradycya pisana nada niezmierną moc pamiątkom lat dawnych, a imienna historya znacznie, jak zmora, ciążyć nad teraźniejszością, ów żywioł historyczny tak się rozwielmożnia, że może zupełnie pochłonąć wszelkie pozostałe pierwiastki, wypływające z warunków bytu i z obchodów chwil kosmicznych, zwłaszcza jeśli religia rozszerzy się z miejsca swego powstania na dalekie okolice i przedostanie się do ludów innego szczepu. Między innemi, tak właśnie dzieje się z naszemi obecnemi świętami. Judajczyk obrządku chrześciańskiego pojmował, że Wielkanoc i Zielone Świątki istniały od wieków i otrzymały nowy charakter, rocznie, dopiero w okresie powstawania chrystyanizmu. My utraciliśmy doszczętnie tę świadomość. Nasz kalendarz świąt chrześciańskich jest jedynie i wyłącznie kalendarzem uroczystości takiego pochodzenia historycznego. Wszelkie inne pierwiastki uległy zatarciu, przyczem ta fala napływowa wchłonęła w siebie wiele zwyczajów naszej przeszłości pogańskiej. Wigilia z choinką, święcone w jajami i dyngusem-śmigusem są takimi właśnie przeżytkami. Nawet niejednokrotnie samo nazwy świąt świadczą o takiem pochłanianiu prastarego miejscowego podłoża przez powódź ideową, przybywającą z obczyzny. W nazwie niemieckiej święta wielkanocnego *Ostern* dochowała się pamięć o bogini saskiej Ostara, w osobie której upostaciowano siły budzącej się wiosny. Święto chrześciańskie zastąpiło obchody wiosenne, towarzyszące zrównaniu dnia z nocą, tak samo jak u nas i w Niemczech wznoszące się katedry na miejscu bóżnic pogańskich.

Natomiast „niedziela" jest całkowicie wytworem tego szczebla kultury, kiedy tryb życia przybrał już charakter systematyczny, tj. kiedy zamiast codziennej zależności od kaprysów przyrody, człowiek narzucił jej swoją wolę i wytworzył w postępie gospodarczym stateczniejsze źródła utrzymania. Nadto praca dawna, w okresie myśliwskim dostarczająca jedynie przedmiotów bezpośredniego spożycia, zawierała w sobie pobudkę, która działała podniecająco. Tymczasem za rolnictwa rezultaty włożonego wysiłku są możliwe dopiero po paru miesiącach, podnieta bezpośrednia znika, zajęcie staje się monotonnem i bezmyślnem, a więc też bardziej nużącem. Dość przypomnieć to zmęczenie, które owłada całem jestestwem naszego włościanina w porze żniw, gdy trzeba od wschodu do zachodu słońca być na nogach z sierpem w ręku, nie zważając na spiekotę. Organizm łaknie wypoczynku. A ponieważ pierwotna, barbarzyńska więź społeczna polega na zasadach demokratycznych, tj. kmieć pracuje na samego siebie, przeto pojawiają się systematyczne, co dni parę obchodzone święta — prawidłowe okresy wczasów od pracy.

Takie „niedziele" spotykamy już na najniższym szczeblu osiadłego trybu życia, jak np. u tak nizko stojących mieszkańców archipelagu Nowo-hebrydzkiego, u których każdy piąty dzień jest takim dniem odpoczynku.

Rozwój takich prawidłowych okresów niedziałania u większości ludów, tak samo jak pierwotny układ miesięcy, wiąże się w sposób bardzo ścisły z cyklami faz księżyca. Zwłaszcza u szczepów, zamieszkujących okolice stref cieplejszych, pewna cześć dla miesiąca wchodzi stale w skład kultu pogańskiego. I u naszego ludu istnieją zaklęcia, pozwalające mniemać, iż dawniej może w pewien sposób witano nowy księżyc:

> Witam cię, witam księżycu,
> Niebieski dziedzicu!
> Tobie światło, z gwiazd korona,
> A mnie zdrowie i fortuna!
> [illegible]
> Żeby nas nie bolały głowy!..

U wielu ludów najpierwotniejszych, np. u Tasmańczyków, obchodzono nów tańcami, ciągnącymi się długo w nocy. I u Semitów wyraz *ahalla*, używany dla pojęcia „świętować," pierwotnie znaczył „spotykać nów." Może z tych uroczystości emocyonalnych, kiedy jasna noc zachęcała do tanów i swawoli, powstały bezpośrednio niedziele. Hypoteza ta nie jest udowodniona, choć dość prawdopodobna. Zabawa, która przeciągnęła się długo w nocy, musiała nazajutrz wywołać skutek zrozumiały spania i próżnowania w ciągu następnego dnia. Zacząwszy od którejś z faz miesiąca, pełni albo nowiu, niedziela przybierała charakter coraz rozleglejszy, jak o tem świadczą zwyczaje semickie lub obyczaj łaciński obwoływania podczas kalend (*idy* i *kalendy* rzymskie pierwotnie kształtowały się według zmian księżyca) kalendarza całomiesięcznego, przedewszystkiem zaś uroczystości świątecznych. U semitów pierwotnie obchodzono tylko pełnię i nów, później zaś wzięto pod uwagę i dwie pozostałe kwadry — powstały sabbat judejski i pokrewne tygodniowe święto babilońskie. Ale chociaż tydzień, złożony z dni siedmiu, jest naturalnem zastosowaniem podziału czasu na podstawie księżycowej, przecież nie zawsze pojawia się. U ludów porzecza Konżo miesiąc rozpada się na siedem części i tydzień posiada cztery dni, tj. trzy zwyczajne, czwarty zaś poświęcony odpoczynkowi. Są i nieregularne sposoby wyznaczenia dni kalendarza miesięcznego i świąt odpoczynku: u Kałmuków np. święta przypadają na 8, 15 i 30, tj. mniej więcej odpowiadają kalendom, nonom i idom rzymskim; u Tybetańczyków 9, 19 i 29, tj. każdy dzień dziesiąty jest niedzielą tak samo, jak w kalendarzu, ustanowionem przez konwencyę francuską w r. 1793; Mongołowie obchodzą 12, 15 i 16 miesiąca, tj. może dochowali stanu rzeczy, właściwego koczownikom semickim, kiedy ci obchodzili jedynie pełnię.

Jakeśmy zaznaczyli w toku niniejszego artykułu, niedziela dla swego powstania potrzebowała ustroju demokratycznego, tj. takiego, w którym kmieć pracowałby dla samego siebie. Doniosłość tego zastrzeżenia zrozumiemy, jeśli uwzględnimy wpływ kapitalizmu nowoczesnego na peryodyczne wczasy naszych dziadów. Trzeba było wmieszania się państwa, ażeby za pomocą ustawodawstwa fabrycznego ocalić niedzielę dla warstwy robotniczej, acz w całem mnóstwie zawodów np. w hutnictwie, piekarstwie itd. nie zdołało ono zabezpieczyć siódmego dnia w tygodniu, przeznaczonego na odpoczynek, od zaniknięcia faktycznie. Dla robotników takich gałęzi produkcyi niedziela jest tylko dniem religijnym i świątecznym z imienia. Prawidłowy niedzielny odpoczynek mógł stworzyć jedynie człowiek, pracujący na własnym zagonie.

. . . .

Przyjrzeliśmy się pochodzeniu, a raczej powstaniu świąt. Nie chodziło nam w tym szkicu o możliwe wyczerpanie drobiazgów, tylko o dostarczenie zasadniczego zarysu. Nie zawsze wywody nasze nas samych zadawalają, wątek rozumowań nieustannie napotykał pewne przeszkody, spoczywające w szczupłości materyału, z którego wypadało nam korzystać. Niepodobna prze-

cież usunąć tej, niewątpliwie doniosłej wady, bo wypływa ona z niedostatecznego rozwoju naszej znajomości ludów pierwotnych. Nasza praca także nie wyjaśnia początku świąt, istniejących obecnie w naszym kraju, dokładniej: u ludów chrześciańskich. Poprzestaliśmy tylko na wzmiance, iż posiadają one charakter historyczny i są napływowego pochodzenia. Ale, jakeśmy zaznaczyli mimochodem, wiele z nich powstało u Hebrajczyków, jak powstawały wszelkie święta, i dopiero z biegiem czasu przybrały charakter rocznic historycznych.

Nasuwa się tutaj jeszcze inna kwestya, mianowicie przyszłości świąt. Zwłaszcza pytanie to narzuca się umysłowi z znaczną siłą, gdy będziemy zastanawiali się nad przeznaczeniem niedzieli.

Jak wiemy, siódmy dzień w tygodniu jest okresem odpoczynku, charakter religijny jest tam rysem przypadkowym. Wspomnieliśmy, iż w wielu gałęziach przemysłu został on faktycznie zniesionym. To samo zaszło i w handlu, szczególniej w sklepikarstwie. Nowoczesna komunikacya, zacząwszy od poczty i telegramów, a skończywszy na kolejach, tramwajach i dorożkach, także nie zna świętowania niedzieli. Istnienie takich systematycznie powtarzających się, w krótkich odstępach czasu, dni „niedziałania“ staje w sprzeczności ze wszelkiemi dążeniami nowoczesnych sił wytwórczych. Niektórzy widzą w takiem zniesieniu odpoczynku chciwość kapitalistów. Naturalnie, była ona i jest sprężyną nieposledniej miary. Ale trzeba i o tem nie zapominać, iż chciwość przedsiębiorców znajdowała potężną pobudkę w naturze procederów technicznych i w całym układzie podziału pracy. Co więcej, istnienie dnia odpoczynku tylko dlatego znajduje tak wielu rzeczników, iż na razie nie widzą oni innego środka zapewnienia pewnego wczasu dla zmordowanego organizmu. Ale przecież kultura ludów cywilizowanych nie zatrzyma się na wzorach pracy, właściwych dobie dzisiejszej. Dzień roboczy ulega nieustannemu skróceniu. W Stanach Zjednoczonych jest on blizki ośmiu godzin, w Australii dają słyszeć się głosy, domagające się tylko siedmiu. Nie wątpimy, iż dalsza przyszłość przekroczy te granice, i nawet bardzo znacznie, bo ostatecznie dla wydajności wysiłku ludzkiego niemożemy znaleźć żadnych kresów. Takie oswobodzenie organizmu od nadmiernej pracy może głęboko oddziałać na charakter niedzieli i spowodować zapełnienie jej działalnością, jak i pozostałych dni. Co do tego punktu, w poglądach swoich nie zajmujemy jakiegoś wyjątkowego stanowiska. Badacz amerykański, Harlow Gale, który przed laty pisał o rozwoju emocyonalnego charakteru dni świątecznych, przychodzi do tego samego wniosku na podstawie spostrzeżeń swoich nad rodzimą, amerykańską kulturą:

„Czyż ostatnie utracimy święta? Wnioskując z dążeń historycznych, odpowiedzielibyśmy: tak i nie. Tak, zanikną one jako odrębne dni kalendarzowe. Święta utraciły swe zadanie emocyonalne, ale pozostało i wzmogło się inne: podawania głębokich uczuć i wszechstronnych myśli. Nasze wrażenia przybierają coraz bardziej charakter intelektualny, tysiączne zdarzenia naszego życia codziennego splatają się z sobą nawzajem i oddziaływają w sposób coraz subtelniejszy: życie emocyonalne wraz z potrzebą wypowiedzenia się wzrastają. Wszystko to sprawia, iż kiedyś dojdzie do tego, że każdy dzień stanie się dla nas świętem. Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy codziennie byli wolni od pracy i codziennie święcili rocznicę któregoś świętego, lecz tylko, że świat czynów, uczuć i myśli, w którym żyjemy, stanie się tak potężny, iż doprowadzi raczej do codziennego, niż przypadkowego świętowania, w niewielkiem raczej gronie przyjaciół, niż wśród licznego tłumu; z krótkimi przeciągami pracy a z długimi odpoczynkami z muzyką raczej, niż z hałasem fajerwerków, z poważną uprzejmością zamiast formalizmu i ceremoniałów.“

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Konstanty Wojciechowski: *Zwięzły podręcznik do historyi literatury polskiej*. Lwów. Nakład księgarni Stanisława Kohlera, 1899, str. 189. — Tegoż: *Kajetan Koźmian*, życie i dzieła. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt, str. 232.

Mamy więc nowy podręcznik do nauki dziejów literatury naszej. Jest to książeczka maleńka, widocznie do użytku szkolnego przeznaczona, a napisana przez młodego wychowańca seminaryów historyczno-literackich, obeznanego z najnowszemi metodami badania i przedstawiania wyniku tych badań. Możnaby się tedy spodziewać po niej spełnienia tych wymagań, jakie oddawna stawiano podręcznikom tego przedmiotu pod względem naukowym i pedagogicznym, a jakie w szczupłej tylko mierze dotychczas spełniane bywały. Ale czy ta nadzieja nie zawodzi? Niestety...

Główną zaleta dziełka p. Wojciechowskiego jest jasność określeń w przedstawieniu znamiennych cech, charakteryzujących dany okres dziejowy. Nie zawsze wprawdzie zgodzić się można z autorem co do samej istoty owych znamion, nieraz bowiem bierze on rzeczy podrzędne za zasadnicze; ale przyznać mu należy, iż to, co poczytał za właściwości znamienne, umie przedstawić jasno i dobitnie, unikając tak powszechnych dawniej ogólników chwiejnych i wieloznacznych.

Stwierdziwszy atoli tę zaletę, ważną niewątpliwie, we wszystkich innych szczegółach zarówno metody, jak wykonania, muszę wytknąć same usterki.

I tak, pod względem metody. Autor wie bardzo dobrze, że każdy nowy okres w rozwoju dziejów rozpoczyna się wówczas, gdy się w danej grupie faktów daje spostrzedz pewna ważna zmiana. Zgodnie z takiem pojęciem, chcąc właśnie zmiany uwydatnić, wprowadził w swej książce liczne podziały na okresy i „podokresy,“ posługując się jeszcze prócz tego pojęciem „przesilenia,“ czyli przejścia z jednej fazy do drugiej. Ze względu na samo brzmienie wyrazu, możnaby „podokresy“ poddać krytyce, ale tę rzecz drobiazgową pomijam, ponieważ sama zasada jest słuszną. Ale zasady trzymać się należy konsekwentnie. Tymczasem autor sprzeniewierzył się jej w dwu miejscach. Charakterystykę literatury w. XV-go rozpoczyna on od słów: „zasadniczej różnicy pomiędzy pierwszym a drugim podokresem niema“ (str. 8). Jeżeli tak, to po cóż autor podział ten utrzymał? Lecz p. W. gorzej jeszcze postąpił, bo o kilka wierszy dalej zapisał te oto wyrazy: „w tym wieku zjawiają się też *nowe prądy*, które są zapowiedzią odrodzenia literatury w XVI w.“ Jeżeli pojawiają się „nowe prądy“ w literaturze, to jest najoczywiściej słuszną rzeczą utworzyć nowy okres, więc jest „zasadnicza“ różnica pomiędzy poprzedniemi stuleciami a XV-em. Naczelne zatem zdanie, rozpoczynające charakterystykę, należało zupełnie wykreślić.

Wiek, w którym ukazują się Grzegorz z Sanoka, pierwszy nasz humanista, nietylko w stylu, lecz i w poglądach; wiek, w którym Jan Ostroróg wygłasza tak śmiałe idee reformatorskie, nie może być łączonym z wiekami poprzednimi, gdzie się wszystkie myśli wysnuwały z tradycyi kościelnej. Sama nawet scholastyka, panująca w akademii krakowskiej, musi być uważana za objaw nowy, gdyż w poprzednich stuleciach, jakkolwiek znana u nas jednostkom, nie doznała przecież rozpowszechnienia, a przynajmniej nie pozostawiła po sobie liczniejszych śladów w piśmiennictwie.

Drugie wykroczenie przeciw zasadzie metodycznej jest innego rodzaju, ale nie mniej ważne. Autor uznaje, że literatura nasza doniosłej uległa zmianie po r. 1830, że zatem należałoby wprowadzić, a raczej zatrzymać dawno już wprowadzony okres, uwydatniający tę zmianę; nie czyni jednak tego „z praktycznych względów.“ Jakież to są te „względy praktyczne“? Oto ten jedynie, „aby nie rozrywać czynności tych pisarzy, którzy działali przed i po r. 1830.“ Zróbmy naprzód uwagę, że p. W. wyraził się tu nieściśle i niepoprawnie; nieściśle, bo „rozerwać czynności,“ choćby chciał, nie zdoła przecież nigdy, może tylko rozerwać opowiadanie o tej czynności, czy jej obraz; niepoprawnie, bo połączenie przyimków *przed* i *po*, „rządzących“ różnymi przypadkami, nie jest gramatycznie rzeczą dobrą. Ale to mniejsza. Sama treść tego wyrażenia jest bardzo podejrzana pod względem metodycznym. Historya literatury nie jest przecież słownikiem biograficznym lub encyklopedyą abecadłową, żeby w niej koniecznie i nieodwołalnie miało się w jednym ciągu opowiadać wszystko, co dana osobistość w literaturze zrobiła. I owszem, jeżeli działalność tej osobistości przedstawia tak znaczne różnice w rozwoju swoim, iż rozmaite jej fazy do odrębnych okresów policzyć trzeba, to historyk literatury, tak samo, jak historyk polityczny, nie zawaha się pomówić o tej działalności w oddzielonych przestrzenią ustępach swej książki, jego bowiem zadanie polega na odtworzeniu dziejów rozwoju pewnych myśli, uczuć i ideałów, nie zaś — rozwoju jednostki, rozważanej osobno. Względy życiorysowe muszą tu być stanowczo podporządkowane względom historycznym, które dla „historyka“ muszą być oczywiście najważniejsze. Ta lękliwość w „rozrywaniu czynności pisarzów“ jest zabytkiem przestarzałej metody katalogowo-biograficznej, według której autorowie musieli z całym swoim bagażem defilować przed czytelnikami. Nie lekceważę ja bynajmniej indywidualności autorskiej, wiem, że ona powinna być z natury rzeczy daleko bardziej uwzględniana w historyi literatury, aniżeli podobne indywidualności w historyi politycznej; ale nie mogę też lekceważyć pojęcia rozwoju idei i uczuć wogóle, a zobrazowanie ich poczytuję za daleko istotniejszy obowiązek historyka literatury, aniżeli podawanie szczegółów biograficznych i „nierozrywanie czynności pisarzów.“

Zresztą p. W. sam z sobą jest w niezgodzie, a to z dwu powodów. Popierwsze, „rozerwał czynności“ Szujskiego, mówiąc osobno o jego twórczości dramatycznej, a osobno o historyograficznej, choć tu właśnie metoda domagała się łącznego traktowania obu, gdyż dramaty Szujskiego dają się zrozumieć i ocenić jedynie na podstawie jego poglądów dziejowych. Powtóre, u p. W. biografia ma bardzo podrzędne znaczenie: króciutko, a co gorsza nadzwyczaj sucho podane wiadomostki życiorysowe rzadko kiedy zużytkowane przezeń zostały celem wyjaśnienia twórczości autorów, tak że w przeważnej części śmiało pominięte być mogły, bo co się nie przyczynia do lepszego zrozumienia myśli, uczuć i ideałów pisarza, to dla historyka literatury może być obojętnem. Wobec takiego sposobu kreślenia życiorysów, skrupuł p. W., aby „nie rozrywać czynności pisarzów,“ wydaje się jeszcze mniej zrozumiałym.

Charakterystyk pisarzów, nawet najznakomitszych, p. W. nie podaje prawie wcale. Chciał zapewne uniknąć pospolitych

określników i ogólnikowych ocen; więc zastąpił je podaniem treści najważniejszych utworów. Na taką metodę zgodzić się trudno. Źle jest podawać młodzieży ogólniki mdłe, a tem bardziej określenia chwiejne przeczące sobie, jak to nieraz bywało w naszych „historyach literatury"; ale nie podawać wcale charakterystyki ogólniejszej, poprzestając na streszczaniu utworów poszczególnych, dobrem nazwać się także nie może, bo w ten sposób uczniowie będą znali tylko luźne, oderwane szczegóły bez ogólnego łącznego poglądu na twórczość pisarza. Połączenie tych dwu względów jest niewątpliwie jednem z najtrudniejszych zadań historyka-pedagoga, lecz dążyć do spełnienia go koniecznie potrzeba, gdyż uczeń powinien wiedzieć, jakie było usposobienie, jaki rodzaj uczuć, fantazyi, rozumu danego pisarza, jakie były jego poglądy i ideały. Z samych streszczeń niepodobna tych wiadomości wyciągnąć, zwłaszcza gdy one są tak dokonywane, jak u p. Wojciechowskiego.

Wiadomo, jak za pomocą streszczenia można podnieść albo obniżyć zawartość utworu. I nie potrzeba w tym względzie jakiegoś fałszu, przekręcania wypadków lub przeinaczania charakterów; dość tylko użyć odpowiednich środków stylistycznych albo odpowiadających, albo nieodpowiadających nastrojowi pewnego dzieła. P. W traktował streszczenia tak samo, jak życiorysy, tj. krótko, sucho, bezbarwnie. Wielkiej to szkody nie wyrządziło tam, gdzie piękno utworu polegało głównie na ogólnych poglądach filozoficznych, jak np. w dziełach Krasińskiego; ale gdzie piękno tkwiło nie tyle w pomyśle ogólnym, ile w mistrzowskiem jego wcieleniu, „referaty" p. W. są wprost nieznośne. Tak się np. stało z „Panem Tadeuszem." Jeżeli który uczeń po przeczytaniu streszczenia, podanego w książce p. W., zdoła zrozumieć końcowe jego zachwyty nad arcydziełem poezyi polskiej, to go będzie można nazwać najdomyślniejszym człowiekiem w Polsce. Ktoby chciał naumyślnie sprowadzić znaczenie „Pana Tadeusza" do znaczenia lichej gawędy, nie potrafiłby chyba zręczniej tego dokonać, niż autor „Podręcznika." Nawet uczniowi za takie streszczenie trzebaby wypowiedzieć naganę.

(D. n.).

Piotr Chmielowski.

O PRAWDĘ.

Na moją, w przedmiotowym, zdaje się, tonie napisaną krytykę *Zasad ekonomii społecznej*, p. J. Stecki, pod pseudonimem △ (patrz nr. 26 *Głosu* z r. z., w którym wyliczono wszelkie pseudonimy współpracowników tego pisma) wystąpił w obronie p. J. Steckiego bez pseudonimu. Taka przyłbica dała mu, za rzekome krzywdy, możliwość obrzucenia mnie słownikiem wyrazów, zazwyczaj względem mnie stosowanych przez to pismo, a jednocześnie zachowania incognito.

Chodzi tam o to, że, zdaniem p. J. Steckiego z pseudonimem, niewłaściwie zaliczyłem p. J. Steckiego bez pseudonimu do zastępów demokracyi ludowej, czyli, jak brzmi termin europejski, drobnomieszczańskiej. Zrobiłem to nie na podstawie jednego frazesu, ale ducha, ożywiającego jego niewielką pracę, przyczem przytoczyłem parę dowodów. W potrzebie mogę służyć p. J. Steckiemu paru innemi, które usunąłem już podczas korekty tylko dlatego, ponieważ wypadło mi pisać o stałym współpracowniku *Głosu* pisma, które trudno mi jakoś podejrzywać, ażeby względem mnie odznaczało się nadmiarem dobrej woli. Książkę p. J. Steckiego zestawiłem z przedstawicielami ekonomii europejskiej i znalazłem, iż autor najbardziej się zbliża do takiego kierunku. Na to nie potrzeba było specjalnych „sprawdzianów." Może uczuciem swojem p. J. Stecki wybiega po za własne stanowisko, ale myśl jego, przynajmniej o ile znalazła wyraz w *Zasadach ekonomii*, jeszcze nie zdążyła dognać serca. Zbijając *jeden* z moich zarzutów, p. J. Stecki przytoczył parę nazwisk — dość niefortunnie. Na jedno z nich od lat wielu sypią się zarzuty, iż zabagnia swoje otoczenie *właśnie* drobnomieszczańskimi poglądami; drugie należy do karyerowicza, który parokrotnie zmieniał przekonania i zdradzał przyjaciół, trzecie więcej mówiłoby, gdyby twierdzenie p. J. Steckiego było słuszne. Nie mając pod ręką prac o sporze w kwestyi cel, na razie nie możemy sprawdzić jego rzetelności. Dużo także znaczy uzasadnienie pewnej tezy, i właśnie ono jest rysem, charakteryzującym specyalnie autora książki.

Mocno przepraszam p. J. Steckiego, jeśli krytyka moja poprzednia — czego zdaje się jednak nie popełniłem — dotknęła w czemkolwiek jego osoby niepublicystycznej, oraz za to podpisuję się całem nazwiskiem.

K. R. Żywicki.

W DALI.

Grodno. *Świet* podaje następujące szczegóły: Dnia 18 i 19 grudnia na posiedzeniu sądu okręgowego grodzieńskiego z udziałem przysięgłych rozpatrywano sprawę z powodu walki między Żydami i włościanami, która się odbyła w miasteczku Indury 23 września 1897 roku. Indury znane są w gubernii Grodzieńskiej jako jedno z największych miejscowych środowisk żydowstwa. W dniu 23 września wypadły jednocześnie dwa święta: żydowskie, znane pod nazwą „dnia sądnego" i katolickie. Z powodu tych świąt, w miasteczku odbywał się targ, na który zebrało się mnóstwo ludzi — lecz nie w równym stosunku. Żydów przed wieczorem było znacznie więcej, aniżeli włościan. W porze dziennej na targu odbyło się parę bójek, których przyczyną było według jednych wyzyskiwanie włościan przez Żydów, według Żydów zaś, odwrotnie. Wieczorem stoczono wielką bitwę. Żydzi wybierali się do szkoły, włościanie zaś wychodzili z kościoła. Zaczynał mrok zapadać. W szkole rozpoczęto modlitwy. W chwili tej wśród Żydów rozeszła się pogłoska, że włościanie tłuką szyby w domach żydowskich. Żydzi wybiegli ze szkoły, zaopatrzyli się w kije i kawały drzewa z rozrzuconego na prędce płotu i przystąpili do gwałtownego bicia włościan. Napadali na przejezdnych, nawet na zupełnie obcych włościan, którzy wcale nie byli na targu w Indurach, bili kijami, rzucali w nich kamieniami z bruku, ważącymi po 8 funtów. W rezultacie zabito włościankę, pobito przejezdnego starca do utraty przytomności podobnie jak i 13—14 włościan, których pokaleczono kamieniami i kijami. Faktem jest, że włościan było bardzo mało. Na jednego napadało 10—20 Żydów. Poszkodowani wcale się nie bronili. Są to wszystko ludzie nie miejscowi, z sąsiedniego powiatu Sokolskiego. Miejscowi zaś włościanie (należy zaznaczyć, że było ich stosunkowo mało, gdyż miasteczko jest żydowskie), ukryli się w ogrodach i nie mogli podążyć z pomocą, pod wpływem obawy. Świadków wezwano przeszło 100. Rozpatrywanie sprawy trwało dwie doby. Na ławie oskarżonych zasiadło 11 Żydów indurskich. Trzech złapanych na gorącym uczynku, szczęśliwie uciekło do Ameryki. Przeciwko zaś pozostałym 11 zabrakło dowodów dostatecznych. Obrońców stawało trzech z pośród najlepszych prawników. Oskarżonych uznano za niewinnych we wszystkich punktach (około 100 pytań). Prokurator założył protest przeciwko wyrokowi sądowemu.

Petersburg. W Charkowie zawiązał się pierwszy w państwie „artel inżenierów rosyjskich," do których zapisało się 500 członków z różnych okolic. Dzienniki petersburskie donoszą, że Bank centralny instytucyi drobnego kredytu, który powstaje w Moskwie, staraniem tamecznego Towarzystwa rolniczego, będzie miał na względzie popieranie stowarzyszeń zaliczkowo-wkładowych, banków wiejskich itd., w drodze operacyj takich: 1) wydawanie pożyczek; 2) przyjmowanie wkładów na lokacyę; 3) otwieranie rachunku bieżącego; 4) kupno i sprzedaż papierów procentowych; 5) skup weksli i zaliczenia na zastaw papierów; 6) zawieranie pożyczek celem powiększenia kapitału obrotowego. Fundusze Banku powstaną z udziałów stowarzyszeń, jako członków i zapomogi rządowej w sumie 300,000 rb.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Większość gmin w pow. Sokołowskim gub. Siedleckiej postanowiła zaprowadzić opiekę nad dziećmi rodziców, pracujących po za domem. Opieka ta ma na celu zapobieganie pożarom i licznym wypadkom z dziećmi.

Szkoły. Korespondent *Gazety Radomskiej* donosi, że w Opatowie byłoby dobrym interesem założenie pensyi lub przynajmniej udzielanie lekcyj dziewczynkom po domach.

— Ministeryum oświaty zatwierdziło zapis stypendyalny w sumie 1,000 rb., uczyniony przez Dubiss-Kraczaka dla niezamożnego ucznia gimnazyum męzkiego w Kamieńcu Podolskim, wyznania katolickiego.

— D. 31 z. m. zatwierdzono stypendyum imienia b. zarządzającego izbą skarbową kielecką, Rzepiszewskiego, dla wychowańca lub wychowanicy jednej ze szkół średnich gub. Kieleckiej. Ze stypendyum mogą korzystać dzieci urzędników izby skarbowej, pobierających płace nie wyższe nad 900 rb. Fundusz stypendyalny w sumie 1,200 rb. zebrali urzędnicy powyższej instytucyi. Rozporządza nim p. Rzepiszewski, a po jego zgonie — wydział ogólny kieleckiej izby skarbowej.

— *Pet. Wied.* donoszą, że ministeryum oświaty poruszyło sprawę otwarcia w Warszawie instytutu farmaceutycznego dla kobiet. Kończącym ten zakład służyć ma prawo składania egzaminów na wydziale lekarskim w uniwersytetach.

Pomyłka. W tych dniach wieczorem policya zaaresztowała pannę, oczekującą na swego brata przy Muzeum przemysłu i rolnictwa. Wzięto ją za kobietę publiczną i odprowadzono do cyrkułu, w którym przenocowała z kilkunastu prostytutkami. Następnie nazajutrz odprowadzona wraz z niemi do urzędu lekarskiego, była zmuszona do poddania się rewizyi. Jak zaznacza *Warsz. Dziennik*, władza wyższa poleciła przeprowadzić ścisłe śledztwo i winnych tego gwałtu pociągnąć do odpowiedzialności prawnej. Niedawno czytaliśmy w pismach rosyjskich o takim samym wypadku w Petersburgu. Winnych policyantów skazano na parę miesięcy więzienia. Że takie pomyłki się zdarzają, że prości policyanci nie umieją odróżnić kobiet uczciwych od prostytutek, temu się nie dziwimy. Ale najsmutniejszą stroną takich nieporozumień jest zamykanie ofiar pomyłek na całą noc z kobietami publicznemi i następnie poddawanie rewizyi lekarskiej. Na to wzdrygnie się dusza każdego, kto w sobie posiada choć trochę pierwiastków człowieczeństwa.

Szpitale i przytułki. Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie postanowiła kosztem 39,000 rb. zbudować pawilon dla nerwowych przy szpitalu św. Jana Bożego. Kosztem 25,000 rb. będzie rozszerzony przytułek dla starców i sług przy ul. Przyrynek. Również w Górze Kalwaryi ma być rozszerzony przytułek dla starców i osób niedołężnych. Potrzeba na to 60,000, Rada zaś posiada tylko 30,000. O takąż samą zwróciła się do magistratu. Wreszcie poruszono sprawę rozszerzenia szpitala św. Ducha.

— W Ostrowie postanowiono założyć przytułek dla starców i kalek.

Koleje i komunikacye. Wielką kolej Syberyjską doprowadzono z Irkucka do Bajkału (st. Baranczyk).

— Dzienniki petersburskie donoszą, że z d. 24 stycznia pociąg pospieszny Moskwa - Krasnojarsk dochodzi już do Irkucka, przebiega więc bez przerwy 5,097 wiorst. Na razie, dopóki nie będzie wykończony most na Jenisieju, komunikacya bezpośrednia jest tylko przywilejem towarów, pasażerowie bowiem muszą się w Krasnojarsku przeprawiać na drugą stronę rzeki własnym kosztem; tam czeka na nich pociąg, dochodzący do Irkucka co dwa tygo-

dnie. Wkrótce będzie ustalona komunikacya między Moskwą a Irkuckiem co tydzień.

Wystawy i zjazdy. Ministeryum komunikacyi wyznaczyło Warszawę na miejsce następnego zjazdu lekarzy kolejowych.

Szósty kongres międzynarodowy stowarzyszeń prasy odbędzie się d. 3—8 kwietnia w Rzymie. Delegatami mogą być tylko rzeczywiści dziennikarze, ale wraz z nimi mają prawo brać udział ich żony i córki. Zgłoszenia najpóźniej do d. 25 lutego nadsyłać należy we właściwej drodze do rąk kasyera: M. Canler, Bruxelles, rue des Pierres 6, z załączeniem 20 franków i własnej fotografii, oraz dokładnych danych o swojej osobie (imię, nazwisko, stanowisko w dziennikarstwie, adres itd.). Porządek kongresu rzymskiego obejmuje: 1) sprawozdanie roczne i wybory; 2) utworzenie międzynarodowej karty tożsamości (legitymacyi dla członków związku prasy; 3) peryodyczne biuletyny biura centralnego; 4) studyum porównawcze prawodawstwa prasowego; 5) prawa własności literatów; 6) zniżenie taryf telegraficznych; 7) międzynarodowe skrócone słownictwo telegraficzne; 8) stosunek współpracowników do wydawnictw; 9) biuro rozjemcze; 10) biuro korespondentów; 11) wnioski stowarzyszeń; 12) uchwalenie miejsca następnego kongresu.

— Przeszłoroczny zjazd dziennikarzy słowiańskich z Austro-Węgier, odbyty w Pradze, uchwalił, że następny odbędzie się r. b. w Krakowie. Dla porozumienia się z kierownikami poprzedniego wiecu udali się do Pragii pp. Chyliński i Zajączkowski (prezydyum Tow. dziennikarzy polskich). Na odbytej konferencyi ułożono zasady regulaminu i postanowiono, że każdy zjazd będzie oddawał wszelkie akta kierownikom następnego. Językiem urzędowym będzie zawsze język tej narodowości, w której kraju zjazd się odbyma. Ważniejsze uchwały będą ogłaszane w kilku językach słowiańskich, a w każdym z nich wolno przemawiać. Koszt udział w zjeździe obciąża uczestników.

— W sierpniu r. b. odbędzie się w Kijowie zjazd archeologów w połączeniu z wystawą, na którą prof. Antonowicz opracowuje mapę archeologiczną Wołynia, inni czterej — mapę lewego brzegu Ukrainy pod względem historycznym itd. Członkowie zjazdu odbędą wycieczki archeologiczne do Łucka, Kamieńca, Ostroga, Włodzimierza-Wołyńskiego, Dubna, Czerkas, Białej Cerkwi, Korsunia, Między- [illegible]

Przemysł i handel. Moskiewski komitet giełdowy stara się o uzyskanie środków prawnych, zapobiegających napływowi kapitałów zagranicznych.

— W Petersburgu powstaje wielkie Towarzystwo akcyjne z kapitałem 10 milionów rb., p. n. „Pionier,“ celem eksploatacyi wynalazków rosyjskich.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Января 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.